ISSN 1425-3496

12,90 zł

ISSN 1425-3496 nr rejestru prasowego 157/ MS-rej. pr. 44/94

DIALOG pheniben

2015 nr 20

kwartalnik romski

THE BEST OF Zaskoczenie było wielkie, bo konkurs nadawano na żywo. Mówiłam wiersz Józsefa Choli Darócziego „Ungriko them - - Magyarország”, który kończy się słowami: „Mój kraju, masz chleb, obfite są twe wody, a jednak głodują twoje biedne dzieci. Głodne są chleba, głodne są słowa, głodne są człowieczeństwa”. Redaktorzy dostali za swoje, a ja trafiłam na ekran dopiero po 20 latach **FOTOREPORTAŻ** Był rok 42, kiedy na pokładzie łodzi z Palestyny do brzegów południowej Francji przybyli pierwsi chrześcijanie. Były wśród nich trzy Marie: Maria Magdalena, Maria Salome, Maria Jakubowa oraz Sara, egipska służąca. 14 wieków później na tych samych ziemiach pojawili się cygańscy wędrowcy **KULTURA** Rodzina od początku bardzo go wspierała. W szkole podstawowej też wszyscy podziwiali jego talent. Nikt nie chciał wierzyć, że jest Romem **SPOŁECZEŃSTWO** Zgodnie z Kanunem życie kobiety jest warte połowę życia mężczyzny, bez względu na stan cywilny. Krwawej zemsty może dokonać tylko mężczyzna. Ale jeśli istniała taka potrzeba, a nie było mężczyzny, jedna z córek zostawała *burrneshe* i odtąd to ona dbała o honor rodu **HISTORIA** Miałem dziewięć lat. Z Monachium jechaliśmy chyba sześć dni. W jednym wagonie cisnęło się sześćdziesiąt osób. Najważniejsze było, żeby nie upaść, bo ten, kto upadł, już więcej nie wstał. Staliśmy w moczu i kale. Ten smród czuję jeszcze dziś.

NA ZACHÓD, A NAWET NA WSCHÓD

Elena Marushiakova, Veselin Popov **Str. 8-17** Moja modlitwa w Auschwitz Angelika Kuźniak, Adam Kozak **Str. 92-111** **ROMSCY ARTYŚCI** TímeaJunghaus **Str.66-83** Co wolno muzułmance? Piotr Turek **Str. 89-91** **SAINTES-MARIES--DE-LA-MER WE FRANCJI** Piotr Wójcik **Str. 54-65** Romka pyta Żyda o Zagładę Joanna Talewicz-Kwiatkowska **Str. 44-53**

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek
Korekta Zespół
Koncepcja kwartalnika, projekt graficzny, fotoedycja i produkcja Dominique Roynette, Piotr Wójcik
Fundacja PICTURE DOC
Przygotowanie fotografii do druku Sylwester Zacheja
Promocja i dystrybucja Kinga Orzeł-Dereń
Finanse Renata Mucha
Drukarnia Colonel, Kraków

Wydawca Fundacja DIALOG-PHENIBEN
ul. Krakusa 8, pokój 107, parter
30-535 Kraków

Kontakt
www.dialogpheniben.pl
biuro@dialogpheniben.pl

Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji

Znajdziesz nas w:
Biurze Fundacji DIALOG-PHENIBEN,
Fundacji PICTURE DOC - Pracownia Duży Pokój,
ul. Warecka 4/6 w Warszawie
oraz Empikach.

Polub nas
na Facebooku:

Nr Indeksu ISSN: 1425-3496, nr rejestru prasowego: 157/MS - rej. pr. 44/94, nakład: 1000 egzemplarzy

DIALOG pheniben
kwartalnik romski

DIALOG pheniben

2015 nr 20

Romska Poczta. Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej **6-7**

NA ZACHÓD, A NAWET NA WSCHÓD. Elena Marushiakova, Vesselin Popov **8-17**

Nie oddawać głosu za konserwę. Agnés Daróczi. Rozmawia Jerzy Celichowski..... **18-27**

„**Na razie dzieci nasze dobrze się sprawują. A jak coś które przeskrobie, to się ich ukara. Nie słowem, to trzeba ręką**" - mówi Kruszyna w rozmowie z Lidią Ostałowską i Joanną Talewicz-Kwiatkowską **28-35**

Kobiety. Piotr Wójcik **36-43**

Romka pyta Żyda o Zagładę. Joanna Talewicz-Kwiatkowska rozmawia z Konstantym Gebertem **44-53**

FOTOREPORTAŻ

Saintes-Maries de-la-Mer. Piotr Wójcik **44-65**

KULTURA

ROMSCY ARTYŚCI. Tímea Junghaus **66-83**

János Balázs **66-69**

Tamás Péli **70-71**

Gabi Jimenez **72-75**

Mara Oláh „Omara" **76-79**

Damian Le Bas **80-83**

SPOŁECZEŃSTWO

Zaprzysiężone dziewice. Elżbieta Wiącek **84-88**

Co wolno muzułmance? Piotr Turek **89-91**

HISTORIA

ZAGŁADA ROMÓW

Moja modlitwa w Auschwitz. Tekst Angelina Kuźniak Fotografie Adam Kozak **92-111**

EDYTORIAL

Czy „Dialog-Pheniben" to pismo romskie?

Pheniben w języku romskim oznacza *dialog.* Na łamach „Dialogu" poruszamy tematy związane głównie ze społecznościami romskimi. Ale nie tylko. Warto wspomnieć tu choćby numery o tabu, imigrantach czy mowie nienawiści. Publikujemy także teksty dotyczące nie tylko Romów. Elżbieta Wiącek pisała dla nas o instytucji zaprzysiężonych dziewic w Albanii, Katarzyna Górak-Sosnowska o społeczności muzułmańskiej, Wojciech Burszta o relacjach międzykulturowych, Dominika Pszczółkowska o imigrantach we Francji, zaś o prawie międzynarodowym Piotr Turek.

To tematy wybiegające poza problematykę romską, ale czy rzeczywiście tak bardzo od niej daleko? Wydawcą pisma jest Fundacja „Dialog-Pheniben". To stosunkowo młoda organizacja, istniejąca od 2012 roku. Na swoim koncie ma wiele projektów dedykowanych Romom, ale nie tylko. Zajmuje się relacjami międzykulturowymi, prawami człowieka, tematami społecznymi.

Jestem romskiego pochodzenia. Reprezentuję młodsze pokolenie Romów, nie jestem też związana z konserwatywną częścią naszej społeczności. Wybrałam inną, można powiedzieć - nieromską drogę życia.

Czy zatem jestem Romką? Czy mam moralne prawo zabierać głos w imieniu romskiej społeczności? Czy mam prawo określać „Dialog-Pheniben" kwartalnikiem romskim? Jest wiele argumentów, które mogą temu przeczyć. Zapewne wiążą się one ze mną, ale również odnoszą się do tematów przez nas poruszanych. Szczerze przyznaję, że to zabieg celowy. Wychodzimy daleko poza etnograficzne wyobrażenia o Romach, piszemy o tematach trudnych i wcale bezpośrednio z Romami niezwiązanych. Ale czy to rzeczywiście oznacza, że Romów nie dotyczą? Dotyczą, i to bardziej, niż się wydaje. Postrzeganie Romów jako społeczności w pewnym sensie wyjątkowej utrwala nasz obraz jako ludzi, dla których czas się zatrzymał. Mam świadomość, że to pomocne dla tych, którzy upiększają i mitologizują Romów, przekonując, że to mniejszość żyjąca w zgodzie z tradycją. Ale co to tak naprawdę znaczy? Romowie to mozaika różnorodnych grup, żyjących w różnych kontekstach. To także społeczność, której procesy polityczne czy społeczne naturalnie dotyczą. Romowie nie są tu wyjątkiem. Tylko z konsekwencjami czasem trudno się skonfrontować. I prędzej czy później trzeba będzie się z nimi zmierzyć. Uważam, że „Dialog-Pheniben" daje tę możliwość. Tematycznie wychodzi daleko poza „romskie getto", a to może tylko pomóc w zrozumieniu procesów społeczno-kulturowych, które nas dotyczą. Bardzo chciałabym, żeby w tym kierunku „Dialog-Pheniben" zmierzał. Ten numer to podsumowanie takiego stanowiska.

Do zobaczenia w 2016 roku!

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

LISTOPAD

Rasistowski atak w Limanowej

„Won z Polski szmaty”, „Szykujcie się na zagładę”, „Polska dla Polaków”- takie napisy pojawiły się na budynkach zamieszkanych przez Romów w Limanowej. Pomalowano również okna, wyrwano z nich klamki, zniszczono samochody. Przy większości napisów pojawił się symbol falangi, którym posługują się środowiska radykalno-narodowe.
Były również plakaty z hasłem: „Nie dla islamskiej dzielnicy w naszym mieście”.

Apel Fundacji „Dialog-Pheniben” oraz przedstawicieli i przedstawicielek 6 innych organizacji do Rzecznika Praw Obywatelskich i Prokuratora Generalnego.

W hołdzie 130 osobom zabitym 13 listopada podczas zamachów terrorystycznych w Paryżu podświetlono w kolorach francuskiej flagi wieżę Eiffla. Paryż, 23 listopada 2015 r.

Fot. AFP / LUDOVIC MARIN

Prezeska Fundacji „Dialog-Pheniben” Joanna Talewicz-Kwiatkowska wraz z przedstawicielami i przedstawicielkami 6 innych organizacji, działających w obszarze praw człowieka, antydyskryminacji i działania na rzecz grup mniejszościowych, ze szczególnym uwzględnieniem mniejszości romskiej:
Dariuszem Paczkowskim, Fundacja „KLAMRA”
Karolem Kwiatkowskim, International Romani Union
Julitą Bogdanowicz, Radomskie Stowarzyszenie Romów „Romano Waśt”
Gerardem Linderem, Małopolskie Stowarzyszenie Romów „Jamaro”
Edytą Jaśkowiak, RSO Harangos
Małgorzatą Mirgą, Fundacja Sztuki „JAW DIKH”

9 listopada br. wystosowali apel do Rzecznika Praw Obywatelskich, dra Adama Bodnara, i Prokuratora Generalnego, Andrzeja Seremeta, o zajęcie stanowiska w związku z umorzeniem postępowania przeciwko Józefowi Cz., który przyznał się do autorstwa nienawistnych komentarzy w Internecie w stosunku do społeczności romskiej: „Zwracamy się z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie dotyczącej skandalicznego wyroku, jaki wydał Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej, a który następnie podtrzymany został przez Sąd Okręgowy w tym samym mieście. Sprawa, którą opisała między innymi „Gazeta Wyborcza” (artykuł autorstwa Pani Ewy Furtak pt. „Czy sąd w Bielsku-Białej Romów nie lubi? Skłonność do żebrania w miejscach publicznych jest powszechnie znana”, ukazał się w ogólnopolskim wydaniu „Gazety Wyborczej” w dniu 28 września br.), dotyczyła 62-letniego Józefa Cz., który na jednym z portali internetowych umieścił wpis pod artykułem na temat incydentu z udziałem Romów w małopolskich Maszkowicach. Był to komentarz o następującej treści: »Z Romami jest tak samo jak z klerem. Nie orzą, nie sieją, a plony potężne zbierają. Czy ktoś widział cygana uczciwie pracującego? Żyją tylko z przekrętów, żebractwa i kradzieży. Kombinacje mają w genach i nic tego nie zmieni. Dlatego izolacja lub wygnanie i będzie spokój«.
Prokuratura uznała, że wpis stanowi publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic etnicznych i jest publicznym znieważeniem Romów. Śledczy dotarli do autora wpisu, który przyznał się do winy i wyraził skruchę. Akt oskarżenia trafił do Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej. Oskarżony wystąpił o dobrowolne poddanie się karze czterech miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu. Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej postanowił jednak sprawę umorzyć, a prowadzący sprawę sędzia Adam Kanafek (przewodniczący wydziału dziewiątego karnego w bielskim sądzie rejonowym) w uzasadnieniu wyroku napisał, że: »Zdaniem sądu organy ścigania prowadziły postępowanie przygotowawcze z nieuzasadnionym rozmachem«. Sędzia dodał również, że: »Nie jest tajemnicą, że sposób życia Romów budzi kontrowersje i nierzadko spotyka się z dezaprobatą społeczną. Oskarżony skrytykował niewłaściwe zachowania, w szczególności dotyczące uchylania się od przyjętych zasad zarobkowania. Ponadto w uzasadnieniu wyroku sędzia uznał, że Romowie są mniejszością etniczną nieskorą do asymilacji i zdobywania wykształcenia, a ich skłonność do żebrania w miejscach publicznych jest powszechnie znana, trwają przy sposobach życia nieakceptowanych w społeczeństwie«.
W związku z opisaną sprawą zwracamy się z prośbą o podjęcie odpowiednich działań, zmierzających do ponownego rozpatrzenia sprawy. W naszej opinii wyrok nie jest zgodny z prawem. Co więcej, wyrok i postawa sędziego stają się publicznym przyzwoleniem na ksenofobiczne i stygmatyzujące wypowiedzi pod adresem mniejszości romskiej. Tym samym organ państwowy, który powinien stać na straży prawa także w zakresie stosowania mowy nienawiści, staje po stronie tych, którzy ją stosują, a to niedopuszczalne. Nie możemy pozostawać obojętni na tego typu wydarzenia, ponieważ doskonale wiemy, do jak tragicznych konsekwencji prowadzić może brak reakcji na promowanie stereotypów i uprzedzeń oraz stygmatyzację grup mniejszościowych, odmiennych kulturowo, etnicznie, religijnie czy społecznie”.

Na Zachód A NAWET NA WSCHÓD

Wygląda na to, że migracje Romów osiągnęły punkt kulminacyjny. Ci, którzy mieli wyjechać, dawno to zrobili. Inni radzą sobie w swoich krajach. A Europa boi się inwazji

Tekst: Elena Marushiakova, Vesselin Popov.

Migracje Romów do krajów Europy Zachodniej w ostatnich latach rzadko stawały się przedmiotem publicznej debaty. Temat ten pojawia się jednak w dyskusjach o prawach człowieka wywołanych strachem społeczeństw Zachodu przed masowym napływem romskich migrantów z Europy Wschodniej. Przedstawiona w artykule klasyfikacja migracji Romów została opracowana z uwzględnieniem kontekstu historycznego. Analiza migracji ma na celu ukazanie natury tego procesu, który jest odpowiedzią na postępujące zmiany polityczne. Podstawą naszych rozważań stała się obserwacja reakcji Romów z krajów Europy Wschodniej na zmiany zachodzące we współczesnej Europie. Badane procesy w praktyce wydają się mniej lub bardziej niespójne, ponieważ zarówno wspólnoty Romów, jak i sytuacja w poszczególnych państwach są zróżnicowane. Nie oznacza to jednak, że nie można wyodrębnić trendów migracyjnych Romów w Europie.

Trzy romskie fale

W historii Romów – od czasów, kiedy przybyli z Indii do Europy, poprzez wiele wieków ich obecności na Starym Kontynencie – miało miejsce kilka fal migracji. Tzw. Cyganie przekraczali granice państw, rozprzestrzeniali się na nowych terytoriach, próbując znaleźć dla siebie przestrzeń społeczną i ekonomiczną. Pierwsza fala nastąpiła na początku XV wieku, kiedy to kilka grup wkroczyło na teren Europy Zachodniej. Były one przykładem tego, jak można efektywnie wykorzystać potencjał nowego terytorium, będąc społecznością nomadyczną, która poszukuje ekonomicznej niszy (mimo silnego, a nawet brutalnego oporu ze strony rządów i lokalnych władz). Przyczyny pierwszej wielkiej fali migracji „Cyganów" ze Wschodu na Zachód miały charakter czysto ekonomiczny, mimo prób nadania jej (przynajmniej na początku) charakteru religijnego (Marushiakova/Popov 2006: 10-26).

Druga fala migracji miała miejsce w drugiej połowie XIX wieku oraz w pierwszej dekadzie XX wieku, kiedy kraje europejskie stały się celem inwazji koczowniczych grup romskich, pochodzących z terenów obecnej Rumunii oraz przylegających do niej terenów Austro-Węgier (Marushiakova/Popov 2006: 10-26). Masowe przesiedlanie się ludności romskiej z Mołdawii i Wołoszczyzny uznaje się zwykle za bezpośrednią konsekwencję zniesienia niewolnictwa Romów na obu tych terytoriach oraz uzyskania swobody w przemieszczaniu się (Hancock 1987: 37-48; Fraser 1995: 226-237). Koniec epoki niewolnictwa jest rzeczywiście ważnym etapem, ale nie jest ani początkiem, ani przyczyną wielkich romskich migracji.

Może się to wydawać paradoksalne, ale te migracje były raczej ucieczką od wolności oraz wynikających z niej nowych obowiązków obywatelskich. Romowie, jako zamknięta wspólnota o niskim poziomie integracji społecznej, nie byli w stanie im się podporządkować.

Dr Elena Marushiakova i **dr Vesselin Popov** - opracowali pierwszą monografię historii i kultury Romów w Bułgarii „Gypsies (Roma) in Bulgaria" (1997), opublikowali pracę o Romach w Imperium Otomańskim „Gypsies in the Ottoman Empire" (2000), zainicjowali serię wydawniczą o romskim folklorze (*Studii Romani*, 1994-1998), utworzyli Minority Studies Society and Roma Heritage Museum Fund przy Narodowym Muzeum Etnograficznym w Sofii (1995). Kierowali badaniami etnologicznymi wśród Romów na terenie byłego Związku Radzieckiego w ramach programu *Difference and Integration* realizowanego przez Universytety w Lipsku i Halle (2001-2004). Pracownicy Bułgarskiej Akademii Nauk.

Trzecia fala migracji – od początku lat sześćdziesiątych XX wieku do dziś (Reyniers 1999) –jest głównym przedmiotem naszych rozważań.

Od „gurbet" do gastarbeiterów

Trzecia fala migracji nasiliła się w latach siedemdziesiątych XX wieku, kiedy Jugosławia otworzyła swoje granice (oficjalnie w 1968 roku). Władze kraju zaczęły zachęcać obywateli do poszukiwania pracy w Europie Zachodniej. Nie były to typowe migracje zarobkowe, ale przemieszczanie się sezonowe, choć również w celach zarobkowych. Było to charakterystyczne dla mieszkańców Półwyspu Bałkańskiego już w czasach Imperium Otomańskiego. Zjawisko to nazywano „gurbet". Administracja otomańska określała w ten sposób szczególny rodzaj populacji. Byli to ludzie, którzy przez określony czas (zwykle sezonowo, w zależności od rodzaju pracy) zarabiali z dala od swoich rodzin i miejsc zamieszkania.
Jako pierwsi do Europy Zachodniej w poszukiwaniu pracy udawali się obywatele Jugosławii (tzw. gastarbeiterzy). Początkowo pozostawali tam w ramach modelu „gurbet", nie zrywając kontaktów z ojczyzną, gdzie przebywały ich rodziny. Wracali od czasu do czasu, pomagali bliskim, a nawet budowali domy, w których mieli zamieszkać na emeryturze. Stopniowo jednak, głównie po 1972 roku, kiedy jugosłowiańscy „gastarbeiterzy" dostawali pozwolenia na zabieranie ze sobą bliskich, ich znaczna część na Zachodzie zaczęła osiedlać się na stałe wraz z rodzinami. Legalizując pobyt, pracownicy mobilni stawali się emigrantami (Marushiakova/Popov 2008: 100-111).

Nomadzi czy zwykli obywatele

W tamtym okresie wszyscy Romowie z Jugosławii emigrowali jako obywatele jugosłowiańscy. Na początku polityka rządów zachodnich wobec nich była identyczna jak wobec pozostałych Jugosłowian.
W latach siedemdziesiątych, pod wpływem czynników „zewnętrznych" (m.in. nacisków ze strony organizacji pozarządowych), rozpoczął się proces wyróżniania Romów jako odmiennej społeczności, wymagającej specjalnej polityki (Matras 1998: 49-64). W tym celu organizowano rozmaite programy i kampanie (m.in. w Szwecji i w Niemczech), które w efekcie nie przyniosły pozytywnego rezultatu. Pierwotna idea walczących o prawa człowieka organizacji, którym zależało na specjalnym traktowaniu Romów, miała udowodnić, że są oni mniejszością dyskryminowaną w ich krajach ojczystych. Teza ta jednak nie mogła być zaakceptowana bez zastrzeżeń, szczególnie biorąc pod uwagę ówczesną politykę Jugosławii wobec społeczności romskiej. Kraj ten już na Pierwszym Kongresie Międzynarodowej Unii Romów został uznany za przykład pozytywnej polityki wobec ludności romskiej i model do naśladowania dla innych krajów Europy. Dlatego też wymyślono nowy argument – Romowie posiadają specyficzny typ kultury powiązanej z ich wędrownym trybem życia i z tego powodu polityka wobec nich powinna być inna niż w stosunku do pozostałych obywateli Jugosławii (Matras 1998:49-64). W rzeczywistości jednak Romowie z Bałkanów byli w większości ludnością osiadłą. Nawet Romowie z grup wędrownych byli tak naprawdę pół-koczownikami: osiedlali się zimą, a przez resztę roku wędrowali.
Z perspektywy czasu możemy stwierdzić, że Romowie bałkańscy charakteryzowali się dużym stopniem społecznej integracji w porównaniu ze swoimi braćmi z Europy Zachodniej. Integracja ta zachowała się w nowych, niezależnych państwach (po rozpadzie Imperium Otomańskiego). Z tej perspektywy próby nazywania Romów z Jugosławii „wiecznymi tułaczami" oraz poddanie ich specjalnej polityce wydaje się być wątpliwe i absurdalne. Przypuszczenie to potwierdza list otwarty Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów z Heidelbergu, w którym przedstawiciele Sinti i Romów nalegają, aby traktować ich jak zwykłych obywateli i nie oddzielać od reszty społeczeństwa.

Wizy zamiast azylu

Po upadku systemu socjalistycznego w latach 1989-1990 Romowie jako przedstawiciele społeczności prześladowanej w swojej ojczyźnie podejmowali próby emigracji z Europy Wschodniej, starając się o azyl polityczny w Europie Zachodniej (także w USA i Kanadzie). Migracje te miały różną skalę i chronologię, różne były też kraje ich pochodzenia i docelowe.
Przykładami są: próby emigracji Romów z Bułgarii i Rumunii w celu uzyskania azylu politycznego w Niemczech w latach 1991-1993, emigracja Romów z Polski i Litwy do Wielkiej Brytanii w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, emigracja Romów z Czech, Słowacji i Węgier do Kanady, która przyjmowała większą liczbę emigrantów po 1997 roku, przybycie Romów z Czech i Słowacji do Wielkiej Brytanii w 1997 roku i później, fala uciekinierów romskich ze Słowacji do Belgii i Finlandii w latach 1999-2000, przybycie grup Romów z Bułgarii do Norwegii, jak również przypadki przybycia Romów z Czech do Kanady w latach 2009-2010.
Na początku lat dziewięćdziesiątych Polska była ważnym krajem tranzytowym dla Romów, którzy szukali sposobów transferu na Zachód. Stanowili ogromną liczbę – od 50 do 100 tys. Latem 1992 roku sytuacja stała się krytyczna, bo światowe agencje prasowe rozpowszechniły informacje, że 200 tys. (liczba mocno przesadzona) obywateli rumuńskich, głównie Romów, próbowało nielegalnie przekroczyć granicę polsko-niemiecką.
Władze niemieckie natychmiast podjęły środki zaradcze. We wrześniu 1992 roku w Bukareszcie podpisano umowę pomiędzy Niemcami a Rumunią o wzajemnym (sic!) przekazaniu sobie obywateli przebywających w obu krajach nielegalnie. 2 listopada 1992 roku na lotnisku w Bukareszcie wylądował pierwszy samolot z 18 nielegalnymi rumuńskimi emigrantami z Niemiec na pokładzie. Do końca 1992 roku drogą tą przybyło około 130 tys. rumuńskich obywateli, głównie Romów, którzy przebywali w Niemczech nielegalnie lub starali się tam o azyl. Ostatni taki lot z rumuńskimi Romami z Niemiec odbył się w sierpniu 1993roku, po czym sprawę uznano za rozwiązaną.
Często zapomina się jednak, że w latach 90. środki prawno-administracyjne państwa niemieckiego okazały się skuteczniejsze w powstrzymaniu migracji (lub raczej quasi-migracji) Romów z Rumunii i Bułgarii do Niemiec. Środki te przyspieszyły procedurę przyznawania azylu, ograniczając tym samym

pomoc finansową udzielaną przyszłym potencjalnym emigrantom politycznym.
Wiele mówi przypadek Romów ze Słowacji, szukających azylu w Belgii w latach 1999-2000. Władze belgijskie kilkakrotnie przeprowadziły próby repatriacji Romów, ponownie wprowadzając obowiązek posiadania wiz dla obywateli Słowacji (dwa razy, z przerwą kilkumiesięczną). Jednak decydującym (i radykalnym) krokiem powstrzymania fali emigracji do Belgii było zniesienie na początku 2001 roku pomocy finansowej dla ewentualnych azylantów i zagwarantowanie im tylko jedzenia, mieszkania i opieki medycznej.

Kosowski exodus

W latach 90. XX wieku mamy do czynienia z emigracją zawodową z powodu kryzysu ekonomicznego lub okresu przejściowego w Europie Wschodniej, czasami tłumaczoną przez Romów powodami ideologicznymi czy łamaniem praw człowieka.
Przypadek byłej Jugosławii jest specyficzny. Po upadku państwa, w efekcie wojen i czystek etnicznych, duże grupy Romów zaczęły uciekać na Zachód. Pierwsza fala emigracji miała miejsce na początku lat 90., kiedy w czasie wojny w Bośni wielu Romów wyjechało do Włoch. Wyjątkowo liczne były grupy emigrantów z Kosowa po agresji wojsk NATO w 1999 roku oraz w następstwie czystek etnicznych przeprowadzanych przez lokalnych Albańczyków. Nawet od 120 do 150 tys. osób z grup cygańskich (Romowie, Egipcjanie i Aszkali) zmuszono do opuszczenia prowincji i ucieczki do Serbii, Czarnogóry i Macedonii (Andjelković et al. 2000; Marushiakova et al. 2001). Wielu z nich udało się dotrzeć do Europy Zachodniej, gdzie żyli w ciągłym strachu przed deportacją do Kosowa, mimo że siły międzynarodowe nie były w stanie zapewnić im tam bezpieczeństwa.

Repatriacje na pokaz

Migracji Romów w ramach trzeciej fali nie należy sprowadzać tylko do przypadków starania się o azyl polityczny, co często pojawia się w literaturze naukowej (Sobotka 2003:79-122). Równolegle do widocznych w życiu publicznym emigrantów, szukających azylu politycznego (bez względu na to, czy mieli ku temu rzeczywiste powody, czy szukali pretekstu do opuszczenia kraju ojczystego), występowały ukryte fale migracji, znacznie liczniejsze.
W połowie lat 90. rozpoczął się okres mobilności zawodowej. Znaczna część populacji romskiej z Europy Wschodniej udała się wtedy do różnych państw Europy Zachodniej. Po przyjęciu traktatu z Schengen i zniesieniu wymogu wizowego dla Bułgarii i Rumunii, proces ten w niektórych krajach przybrał skalę masową. W odróżnieniu do lat siedemdziesiątych ci, którzy emigrują na Zachód obecnie, pracują na czarno lub pół-legalnie, uzupełniając deficyt taniej siły roboczej w różnych sferach gospodarki (w rolnictwie, budownictwie, niektórych gałęziach sektora usług etc.).
Władze lokalne wielu krajów Europy Zachodniej w zasadzie przymykają oczy na migracje w celach zarobkowych; tylko czasami, dla uspokojenia

Bułgarscy Romowie w obozie Alpacino w Bobigny.
Fot. Roberto Neumiller

opinii publicznej, ostentacyjnie walczą z tym zjawiskiem. Na przykład kilka razy w roku organizują pokazowe repatriacje grup nielegalnych imigrantów – głównie tych, którzy byli karani. W niektórych przypadkach starają się również zalegalizować (przynajmniej częściowo) pobyt migrantów. Pewne sygnały (choćby wzrastająca liczba stałych osiedleń rodzin romskich) dowodzą, że mobilność zawodowa stopniowo przekształca się w prawdziwą migrację.

Realne rozmiary tego fenomenu są trudne do oszacowania. Brak dokładnych danych wydaje się dobrą wymówką dla niemej akceptacji zjawiska, które pozostaje tajemnicą poliszynela zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Emigranci zarobkowi wywierają istotny wpływ na wiele sfer życia ekonomicznego Europy Zachodniej, co pozwala zrozumieć, dlaczego w wielu przypadkach władze lokalne wolą przymykać na nich oczy.

Mobilność zawodowa jest jeszcze bardziej istotna dla przekształcających się krajów Europy Wschodniej, przede wszystkim Bułgarii i Rumunii, które znacznie ucierpiały podczas transformacji ustrojowej. Spora część dochodów obywateli (według szacunków ok. 30 proc.) płynie z zagranicy, od pracujących tam członków rodzin. Trudno znaleźć w Bułgarii czy Rumunii kogoś (nie wyłączając z tego grona Romów), kto nie miałby przynajmniej jednego krewnego pracującego za granicą.

Koczownicy z przymusu

Państwa Europy Zachodniej prowadzą różną politykę wobec Romów z Europy Wschodniej. Zwykle jest ona taka sama jak wobec ludności lokalnej, lecz zdarzają się również wyjątki. Na początku lat 90. Włochy na skutek nacisków organizacji pozarządowych (również kościelnych) opracowały radykalne rozwiązanie. Opierało się ono na paranaukowej analizie, która „dowiodła", że specyficzny charakter społeczności romskiej uniemożliwia Romom życie w symbiozie z ludnością lokalną. Wszyscy Romowie – migranci, uchodźcy wojenni z Jugosławii (badania szacują ich liczbę na 120 -150 tys) zostali określeni mianem „nomadów". To automatycznie wykluczyło ich z uczestnictwa w programach integracji adresowanych do innych uchodźców czy migrantów. Z miejsca umieszczano ich w „obozach", czyli tymczasowych kempingach budowanych na peryferiach dużych miast z myślą o nich oraz o lokalnych nomadach we Włoszech, których nazywano oficjalnie Romowie, Sinti i Camminanti. Wśród skierowanych do obozów znaleźli się również Romowie z byłej Jugosławii, którzy od wieków byli społecznością osiadłą, dobrze zintegrowaną ze społecznością większościową. Umieszczanie ich w obozach bez uwzględnienia kontekstów społecznych czy kulturowych doprowadziło prawdopodobnie do najpoważniejszych przypadków masowej desocjalizacji w Europie w ostatnich dziesięcioleciach. Po 2001 roku do Romów z włoskich obozów dołączyły duże grupy migrantów z Europy Wschodniej (głównie z Rumunii). Osoby te osiedlały się w obozach nie dlatego, że chciały prowadzić styl życia nomadów – w rzeczywistości w ogóle nie wędrowały. Po prostu życie w obozach było tańsze i mogły oszczędzać. W tym samym czasie, na przykład w Hiszpanii, rumuńscy Romowie – w tym bliscy krewni tych z obozów we Włoszech – żyli w typowych miejskich warunkach w wynajętych mieszkaniach.

Bibliografia:

Andjelković Z., Scepanović S., Prlincević G., *Days of Terror. (In the Presence of the International forces)*, Beograd: Center for Peace and Tolerance, 2000.

Fraser A., *The Gypsies*, Oxford UK & Cambridge USA: Blackwell, 1992.

Guy W., Uherek Z., Weinerova R. (Ed.), *Roma Migration in Europe: Case Studies*, New Brunswick & London: Transaction Publ., 2004.

Hancock I., *We are the Romani people. Ame sam e Rromane džene*, Hatfield: University of Hertfordshire Press, 2002.

Klimova I., Pickup A. (Ed.), *Romani Migrations: Strangers in Anybody's Land?*, „Cambridge Review of International Affairs", XIII, Vol.2, 2000,13-118.

Kovats A. (Ed.), *Roma Migrations*, Budapest: Hungarian Academy of Sciences - Institute of Minority Research, 2002.

Marta C., *The Acculturation of the Lovara*, Stockholm: IMFO-Gruppen - University of Stockholm, 1979.

Marushiakova E., *Gypsy/Roma Identities in New European Dimension: The Case of Eastern Europe* – In: Marushiakova E. (Ed.), *Dynamics of National Identity and Transnational Identities in the Process of European Integration*, Newcastle: Cambridge Scholars Publishing, 2008, 468-490.

Marushiakova E., Popov V., *Gypsies (Roma) in Bulgaria*, Frankfurt am Main: Peter Lang Verlag, 1997.

Marushiakova E., Popov V., *Gypsies in the Ottoman Empire*, Hatfield: University of Hertfordshire Press, 2001.

Marushiakova E., Popov V., *The Roma - a Nation without a State? Historical Background and Contemporary Tendencies* - In: Burszta W., Kamusella T., Wojciechowski S. (Ed.), *Nationalismus Across the Globe: An overview of the nationalism*

Przyczepa w prezencie

Po wydarzeniach z wiosny 2008 roku (zaostrzenie polityki rządu włoskiego wobec Romów, w ramach której rozpoczęto ewidencjonowanie Romów z pobieraniem odcisków palców włącznie, także od niemowląt) we włoskim społeczeństwie nasiliły się nastroje antycygańskie wobec Romów z obozów. Na szczęście dla wschodnioeuropejskich Romów przypadek Włoch jest raczej wyjątkiem niż regułą.

Sytuacja Romów we Francji, w pewnym stopniu podobna do włoskiej, jest bardziej skomplikowana. Zwykle romscy migranci nie są tam przymusowo separowani. Jednak część z nich (głównie ci z Rumunii) trafia na kempingi dla „podróżujących" („*Tsiganes et les Gens du voyage*") z własnej woli bądź decyzją lokalnych władz. Niektórzy dostają nawet przyczepy. Są to potomkowie grup nomadów, osiedlonych 1-3 pokolenia temu lub społeczności, które nigdy nie zrezygnowały z częściowo wędrownego trybu życia.

W innych krajach Europy Zachodniej przypadki adaptacji migrantów romskich z krajów Europy Wschodniej do warunków życia miejscowych romskich nomadów zdarzają się rzadko (np. w Niemczech i Holandii).

Reasumując, można przyjąć, że romscy migranci z Europy Wschodniej do Europy Zachodniej (bez uchodźców i azylantów z byłej Jugosławii) są częścią fali migracji mieszkańców z ich rodzimych krajów, więc dotyczą ich te same podstawowe strategie mobilności zawodowej. W ramach tych przepływów Romowie zachowują mimo wszystko pewną społeczno-kulturową autonomię, którą kultywują po osiedleniu się w krajach zachodnich.

Skąd dokąd

Migracja Romów z Europy Wschodniej odbywa się masowo i jest wewnętrznie zróżnicowana w zależności od kryteriów, m.in. kraju pochodzenia, wewnętrznej struktury społeczności romskiej w danym kraju. Poniżej staramy się opisać, dość schematycznie i ogólnie, tendencje tych migracji, otwierając zarazem furtkę dla przyszłych klasyfikacji i doprecyzowań.

Romowie z krajów b. Jugosławii migrują (z planem bądź intencją osiedlenia się za granicą) głównie w dwóch kierunkach. Jedni zmierzają przetartymi trasami jugosławiańskich *Gastarbeiterów*) w kierunku Austrii, Niemiec i Holandii, gdzie zostają wchłonięci przez jugosłowiańskich Romów, osiadłych i zintegrowanych z lokalnymi społecznościami. W kierunku Niemiec kieruje się również spora liczba uchodźców romskich z czasów wojen jugosłowiańskich (głównie Romowie, Egipcjanie i Aszkali z Kosowa), lecz z powodu niejasnego statusu i nieustannej groźby repatriacji proces ich integracji w społeczeństwie niemieckim jest skomplikowany i żmudny. Inne grupy Romów z krajów b. Jugosławii emigrują w kierunku Włoch, gdzie trudno im zintegrować się ze społecznością lokalną, a ich przyszłość pozostaje niejasna i pełna zagrożeń.

Romowie z Bułgarii generalnie podążają głównymi międzykrajowymi szlakami mobilności zawodowej Bułgarów. Największy ich odsetek kieruje się w stronę Morza Śródziemnego, głównie do Grecji, Hiszpanii i Portugalii, lecz również na Cypr, do Włoch i Francji. Niektórzy Romowie muzułmańscy

dołączają do fal etnicznych Turków, migrujących w kierunku Holandii, Belgii i Niemiec. Specyficznym przypadkiem są Romowie z rejonu Dobrich, którzy już od dwóch dekad emigrują w celu handlu sezonowego na polskich rynkach; do nich dołączają też Romowie z innych rejonów Bułgarii.
Romowie, którzy stają się nieodłączną częścią społeczności bułgarskich migrantów, przez miejscowych z krajów goszczących nie są traktowani jako odrębna społeczność etniczna.
Istnieje jednak kilka wyjątków od tej reguły, np. żebrzący bułgarscy Romowie z Pesztery i okolic Francji (w Bordeaux).
Inaczej przedstawia się sytuacja migrujących Romów z Rumunii, którzy najczęściej stają się bohaterami publicznych skandali w krajach Europy Zachodniej. Niewielu z nich, zwłaszcza w przypadku tych wybierających tożsamość romską, podąża w ślady migracji głównej populacji rumuńskiej, która kieruje się głównie do Włoch, Hiszpanii, Portugalii i Grecji, zaś różnica między nimi a etnicznymi Romami jest niewidoczna dla otaczającej ich populacji w krajach goszczących.
Wielu rumuńskich Romów, głównie byłych wędrowców, emigruje do Włoch i Francji, a ostatnio również do Wielkiej Brytanii i Irlandii. Oddają się tam odwiecznemu sposobowi zarabiania: żebrzą na ulicach wielkich miast. Z tego powodu, a także dzięki charakterystycznemu ubiorowi kobiet, zauważają ich mieszkańcy, ale traktują na równi z innymi migrującymi Romami.
Odmiennym przypadkiem są społeczności romskie z Transylwanii, osiadłe głównie na dawnych terenach węgierskich oraz zamieszkałych niegdyś przez mniejszość niemiecką. Grupy te migrują sezonowo na Węgry i do Niemiec, wykorzystując dawno utrwalone stosunki z miejscowymi.

Niewidzialni bez skandalu

Romowie z Europy Środkowej migrują na znacznie mniejszą skalę niż ci z Europy Południowo-Wschodniej. Romowie z Węgier (podobnie jak część obywateli Węgier) wyjeżdżają na zarobek stosunkowo rzadko.
Całkowicie inaczej przedstawia się sytuacja Romów ze Słowacji. Większość z tych, którzy emigrowali zarobkowo jeszcze za socjalizmu, teraz mieszka w Republice Czeskiej (wielu Romów w Czechach ma pochodzenie słowackie i czeskie obywatelstwo). Romowie z b. Czechosłowacji migrowali głównie do Wielkiej Brytanii, a także do Niemiec, Belgii i krajów Skandynawii. Część wtopiła się w lokalne społeczeństwo, ale inni, przeważnie ci w Wielkiej Brytanii, pozostają widoczni dla otaczającej ich populacji z powodu znacznej marginalizacji społecznej. Migracja Romów z Republiki Czeskiej do Kanady i USA stała się głośna głównie z powodu obowiązku wizowego dla obywateli Czech, który był odpowiedzią na masowe przyjazdy Romów.
Niektórzy Romowie z Polski wiele lat temu wyjechali do Wielkiej Brytanii, inni pracują w Niemczech bądź stają się ulicznymi muzykami w europejskich metropoliach. Ci z krajów bałtyckich migrują (co może wydawać się dziwne) na Wschód, do państw Federacji Rosyjskiej. Podobnie jest na Ukrainie i w Mołdawii. Tylko niewielka część Romów z Ukrainy Zachodniej i Republiki Mołdawskiej idzie w ślad migrujących za granicę Romów z Polski i Rumunii.
Migracje Romów na Zachód sporadycznie znajdują się w centrum zainteresowania opinii publicznej w krajach Europy, także Wschodniej. Dzieje się tak w przypadkach, gdy obywatele-emigranci stają się bohaterami skandali na Zachodzie lub gdy wspomina się o nich w zachodnich mediach jako o „Cyganach". Szczególnie wrażliwe wobec tematu migracji Romów są Rumunia i Bułgaria, bo przejmują się swym wizerunkiem w oczach krajów Europy Zachodniej. Standardową reakcją w takich przypadkach jest zarzut, że to Romowie niszczą reputację Rumunii czy Bułgarii. A to ostatecznie utrwala stereotypy i wzmacnia postawy antycygańskie w tych krajach.

Inwazji nie będzie?

Aby zrozumieć strategie migracji (czy precyzyjniej, strategie mobilności zawodowej) Romów z Europy Wschodniej, należy pamiętać o wielowymiarowej strukturze ich tożsamości. Wszędzie na świecie Romowie istnieli w co najmniej „dwóch wymiarach" czy też na dwóch współrzędnych płaszczyznach: jako osobna społeczność oraz jako część społeczeństwa większościowego (Marushiakova 2007: 468-470). Dlatego też stosunkowo niewielu romskich migrantów w Europie Zachodniej postrzega siebie przede wszystkim jako „Romów". Większość uważa się raczej za część narodu krajów ojczystych i akceptuje ogólne narodowe strategie mobilności zawodowej do innych krajów, ignorując tym samym inne konteksty (mniejszości czy odrębnej wspólnoty). Realizacja tych strategii przez Romów w krajach goszczących zmienia się w zależności od sytuacji ekonomicznej, do której muszą się przystosować.
We współczesnej Europie rozwój społeczności romskich wiąże się z przenikaniem ich członków przez granice międzypaństwowe. Duże grupy migrują na Zachód; osiedlają się tam na stałe lub przynajmniej mają taki zamiar.
Niełatwo z dzisiejszej perspektywy ocenić, jakie są możliwości rozwoju migracji Romów z Europy Wschodniej do Zachodniej. W tej chwili wygląda na to, że migracje osiągnęły już swój punkt kulminacyjny. Wątpliwe, by doszło do kolejnego intensywnego rozwoju migracji. Potencjalne migracje Romów z Europy Wschodniej na Zachód już nastąpiły, zaś niektórzy z tych, którzy postanowili szukać szansy w swoich krajach, odnaleźli się na lokalnych rynkach pracy. Realna stopa bezrobocia Romów w krajach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej (być może z wyłączeniem wschodniej Słowacji) jest już teraz niższa niż wcześniej (choć wciąż wysoka). Zniesienie obowiązku wizowego dla krajów bałkańskich nie powinno doprowadzić do poważnych problemów, ponieważ wielu Romów z tego regionu od lat regularnie podróżuje na Zachód. Ta sytuacja może się zmienić tylko w wyjątkowych okolicznościach: poważny kryzys ekonomiczny, nasilenie napięć etnicznych w Europie Środkowej, kampanie polityków zachodnich, którzy użyją „problemu Romów" do rozwiązywania problemów wewnętrznych swoich krajów.
Można też spodziewać się zmian innego rodzaju: stopniowego rozluźniania więzi z krajami, z których pochodzą Romowie, ich stałego i legalnego osiedlenia w nowych krajach Europy Zachodniej itd. To wszystko może doprowadzić w efekcie do ukształtowania się całkiem nowego obrazu obecności Romów w Unii Europejskiej.

Elena Marushiakova, Vesselin Popov

Z języka angielskiego przełożyła Agnieszka Gadomska, Rafał Morusiewicz

of state-endowed and stateless nations, Poznań: School of Humanities and Journalism, 2005, 433-455.
Marushiakova E., Popov V., *Les migrations tsiganes de Bulgarie et Roumanie (histoire et temps modernes)*, „Balkanologie", Vol. XI, No. 1-2., 2008 –
Marushiakova E., Popov V., *De l'Est a l'Ouest. Chronologie et typologie des migrations tsiganes en Europe, „Etudes Tsiganes", No. 27-28, 2006, 10-26.*
Marushiakova E., Popov V., *Migrations des Tsiganes en Europe, des années soixante a nós Tours*, „Hommes et Migrations", No. 1275, 2008, 100-111.
Marushiakova E., Popov V., *Gypsy Slavery in Wallachia and Moldavia* – In: Kamusella T., Jaskulowski K. (Ed.), *Nationalisms Today*, Oxford: Peter Lang, 2009, 89-124.
Marushiakova E., Heuss H., Boev I., Rychlik J., Ragaru N., Zemon R., Popov V., Friedman V., *Identity Formation among Minorities in the Balkans: The cases of Roms, Egyptians and Ashkali in Kosovo*, Sofia: Minority Studies Society „Studii Romani", 2001.
Matras Y., *The development of the Romani civil right movement in Germany 1945-1996* - In: Tebbut S. (Ed.), *Sinti and Roma. Gypsies in German-speaking society and literature*, New York: Berghahn, 1998, 49-64.
Reyniers A., *Evaluation of Gypsy Populations and their Movements in Central and Eastern Europe and in some OECD Countries, focusing on the issues of migration, application for asylum, demography and employment. Occasional Papers*, Paris: OECD, 1999.
Sobotka E., *Romani Migration in the 1990s: Perspectives on Dynamics, Interpretation and Policy*, „Romani Studies", Series 5, Vol. 13, No. 2, 2003,79-122.

Nie oddawać głosu za konserwę

Agnés Daróczi O tym, jak węgierscy Romowie po raz pierwszy usłyszeli swój język w telewizji. O tym, jak uczą się pamięci o Zagładzie. O sytuacji romskich mediów i kultury. I o tym, dlaczego Romowie muszą mieć własną partię - opowiada Agnés Daróczi, dziennikarka i działaczka na rzecz praw Romów

Rozmawia Jerzy Celichowski

Gratuluję pani przyznania Europejskiej Nagrody Praw Obywatelskich Sinti i Romów fundacji Manfreda Lautenschlägera za osiągnięcia w dziedzinie praw człowieka, dziennikarstwa i nauki.
- Dziękuję.

W 1972 roku zajęła pani czwarte miejsce w kategorii recytacji w telewizyjnym konkursie „Ki mit tud" (Kto co potrafi), ówczesnym talent-show. Jak to było?
- Już w szkole podstawowej chętnie recytowałam wiersze. W mojej rodzinnej wsi Bedő (leży na wschodzie Węgier, trzy kilometry od Biharkeresztes) większość stanowili Rumuni, żyli tam też Węgrzy, no i my, Romowie. Wieś uważana była za niepewną politycznie, dlatego

Fot. Frenc Isza/AFP/East News

wciąż zabierano stamtąd mężczyzn do wojska. Mojego dziadka skierowano na roboty przymusowe, podczas których zginął. Tak odebrano rodzinie czterech-pięciu mężczyzn, kobiety zostały same. Przestrzegały jednak ważnych wartości wspólnotowych i egzekwowały je. Córka mojego dziadka ze strony ojca, ciocia Juli, mimo swojego ubóstwa i pochodzenia nauczyła się pisać i czytać i chętnie chodziła do biblioteki. Tak narodził się rodzinny zwyczaj głośnego czytania i dyskutowania o książkach, które przynosiła. Nie było wtedy telewizji, siedziało się w domu i łuskało kukurydzę.
Byłam chyba dopiero w drugiej klasie, kiedy na mnie wypadła kolej czytania. Kiedy się czyta, trzeba to robić wyraźnie, by słuchacze dobrze zrozumieli tekst - dlatego zaczęłam także recytować wiersze, bo to uczyło panowania nad językiem. W szkole średniej zaczęłam brać udział w konkursach szkolnych, a w 1971 roku zajęłam pierwsze miejsce podczas Dni Uczniowskich, recytując wiersz Károlya Báriego „Hegedűk vijjogásából". Rok później, zachęcona przez nauczycieli i kolegów, wzięłam udział w konkursie „Ki mit tud". Mama, dla której telewizor był oznaką kultury i cywilizacji, jako chyba druga osoba we wsi kupiła wówczas aparat. Wystawiało się go na podwórze i wszyscy się schodzili, żeby oglądać konkurs.

Inni Romowie też brali udział w konkursie?
- Tak, w kategorii muzycznej zwyciężył skrzypek Károly Puka. Było oczywiste, że Romowie dobrze wypadają w muzyce, ale ich sukcesy w innych dziedzinach były zaskoczeniem. Można powiedzieć, że wytyczałam wówczas nowe szlaki - cztery lata później István Oláh zwyciężył w konkursie recytatorskim, a potem Judit Jonás. Bardzo się to rozpowszechniło.

Jak na sukces zareagowało pani otoczenie: dom, szkoła, wieś?
- Zauważono go nie tylko w naszej wsi, ale i w całym kraju. Wówczas był tylko jeden kanał telewizji, wszyscy oglądali to samo i potem się o tym rozmawiało. Stałam się osobą publiczną. Mój sukces miał znaczenie nie tylko kulturalne, ale i polityczne. Powiedziałam wiersz najpierw po romsku - w literackim dialekcie lovaricka, zrozumiałym we wszystkich częściach świata, a potem po węgiersku. Byłam pierwszą osobą, która na forum krajowym przemówiła w języku Romów. Trzeba wiedzieć, że wówczas nasz język był zakazany. Naukowcy sprzeczali się, czy taki język w ogóle istnieje. Pokazałam im, że nie mają racji.

Jak Romowie zareagowali na to, że przemówiła pani w ich języku?
- To było coś w rodzaju objawienia. 17-letnia dziewczyna przemówiła zakazanym językiem zakazanego narodu. To, co zrobiłam, określiło całe moje późniejsze życie. Romowie byli ze mnie bardzo dumni, spotykałam się z wielką serdecznością. Wówczas we wsi Hodász funkcjonowała mała wspólnota religijna, w której odbywały się msze po romsku, odprawiał je ksiądz Miklós Sólya. We wrześniu w Máriapócs odbywał się romski odpust i tam mnie zaproszono. To niezapomniane wspomnienie: w trakcie mszy ksiądz Sólya zwrócił się do mnie, żebym powiedziała wiersz. Wyrecytowałam go w dwóch językach. To było coś wspaniałego, jak ci ludzie dumnie mówili: to nasze. Nasz jest wiersz, nasz jest poeta i ta dziewczynka, która miała odwagę przemówić w naszym języku.

Agnés Daróczi
- działaczka na rzecz praw kobiet romskich, założycielka fundacji Romedia, wiceprezydentka Niezależnego Stowarzyszenia Romskiego Phralipe działającego od 1990 roku, współautorka książki „Pharrajimos. Los Romów podczas Holocaustu", organizatorka pierwszej wystawy romskiej sztuki w Węgierskim Instytucie Kulturalnym w latach 90. Współtworzyła program radiowy „Brzmienie Romów".

Jerzy Celichowski
- mieszka na Węgrzech, współpracuje z polskimi mediami.
Autor bloga „Hungarian hedgehog: jezwegierski.blox.pl"

> Byłam pierwszą dziewczyną z naszej wsi, która poszła na uniwersytet i która nie zapomniała o swoim pochodzeniu

A jak zareagowały władze?
- Zaskoczenie było wielkie, bo konkurs nadawano na żywo. Mówiłam wiersz Józsefa Choli Darócziego „Ungriko them - Magyarország", który kończy się słowami: „Mój kraju, masz chleb, obfite są twe wody, a jednak głodują twoje biedne dzieci. Głodne są chleba, głodne są słowa, głodne są człowieczeństwa". Redaktorzy dostali za swoje, a ja trafiłam na ekran dopiero po 20 latach - w 1992 roku zaczęłam redagować w telewizji program romski „Patrin". A przecież już jako licealistka mogłam zacząć się uczyć, przygotowywać do pracy w telewizji. Nie pozwolili.

Romski nie jest już językiem zakazanym, artyści romscy obecni są w wielu dziedzinach kultury.
- Nie jest, ale też nie dostaje wsparcia. W kulturze coś może być wspierane albo tolerowane lub zakazane - my jesteśmy zaledwie tolerowani. I jeszcze coś: presja na język w czasach komunizmu była narzędziem przymusowej asymilacji. Badania Istvána Keményego z 1971 roku pokazały, że dla 21 procent Romów romanes był językiem ojczystym. Dziś jest ich może 8 procent. Tymczasem Bojasze, którzy mówią archaicznym dialektem rumuńskiego sprzed 200 lat, mają swoje instytucje, podręczniki, oświatę w swoim języku, dzięki czemu liczba Bojaszów mówiących w swoim języku - 8 procent - nie zmieniła się, a nawet nieco wzrosła. Tak więc do dziś sytuacja języka romskiego jest bardzo trudna. Mimo wielkiej liczby romskich dzieci nie ma komu ich uczyć w tym języku, wyjątkiem jest romskie Gimnazjum im. Gandhiego w Pécs. I choć można w szkole zdawać egzamin z tego języka, nie zastąpi to braku miejsc publicznych, gdzie można go używać.

Jak rozwijała się na Węgrzech oficjalna kultura romska?
- Kultura zakazanego narodu początkowo objawiła się w latach 70. w literaturze. Poeta Károly Bari, który miał 17 lat, gdy ukazał się jego pierwszy tomik, był pierwszym zwiastunem nadciągającej fali. Potem przyszli: powieściopisarz Menyhert Lakatos, tłumacz József Choli Daróczi, Béla Osztojkán, który zaczynał jako poeta, ale dziś bardziej znane są jego powieści, poeta Attila Balogh. I tak mogłabym wyliczać od Józsefa Holdosiego aż po Tamása Jonása.
Kiedy po studiach, w 1979 roku, dostałam pracę w Instytucie Kultury Ludowej, zorganizowaliśmy wystawę romskich malarzy samouków. W ten sposób już w drugiej dziedzinie przebiliśmy się do kultury elitarnej. Od tej wystawy datuje się świadomość istnienia romskich sztuk wizualnych. Inną bardzo ważną dziedziną jest folklor. W 1976 roku wspólnie z moim mężem Jánosem Bársonym, który grał na mandolinie, założyliśmy pierwszy współczesny zespół folklorystyczny pod nazwą Romano Glaso. Próbowaliśmy folklor i muzykę Romów przenieść na sceny światowe.
W 1978 roku założyliśmy zespół Kalyi Jag. Do 1984 roku jego kierownikiem był János Bársony. W ciągu tych sześciu lat udało się zespołowi wypracować własny styl, repertuar, aranżacje, zaczął występować za granicą. Mąż musiał zdecydować, czy zostanie wędrownym muzykiem, czy pozostanie przy pracy badawczej. Rola nas, inteligencji, polegała na stworzeniu zespołu, jednak prawdziwym wyzwaniem było utrzymanie go przy życiu. Sądzę, że Kalyi Jag dowiódł, że nasze podejście było słuszne.

W pani rodzinie wiele jest wybitnych osobowości. Jak się to stało?
- Mówiłam już, że nasza wspólnota była rodzajem matriarchatu. Zawdzięczamy to silnym kobietom. Byłam pierwszą dziewczyną z naszej wsi, która poszła na uniwersytet i która nie zapomniała o swoim pochodzeniu. Co więcej - dumnie się do tego przyznawała. Całe moje rodzeństwo skończyło wyższe uczelnie, często więcej niż jeden kierunek. To wszystko ma dużą siłę oddziaływania. Bo dla Romów fakt, że ktoś tam skończy studia, jest nieoczywisty. Ale jeśli zrobił to ktoś z rodziny, można ruszyć w jego ślady. Ciekawe dla mnie było to, że kiedy poszłam na studia - filologię węgierską i kulturologię - dużo Romów zaczęło studiować te kierunki. A kiedy zostałam dziennikarką, nagle pojawiło się sporo romskich dziennikarzy. Dobrze byłoby, gdyby wśród naukowców - fizyków, chemików, a także prawników - pojawiły się znane wśród romskiej społeczności twarze, które byłyby idolami dla młodych ludzi. Ale do tego potrzebne są odpowiednie warunki.

Od kiedy istnieją na Węgrzech romskie media? Czy magazyn „Patrin" był pierwszy?
- W czasach socjalizmu nie było romskich programów. Po upadku systemu telewizja węgierska zaczęła eksperymentować i stworzono pierwszy taki program. Poprzednio były tylko lokalne inicjatywy organizacji społecznych. Na przykład pod przewodnictwem Józsefa Choli Darócziego, który był nauczycielem w XV dzielnicy Budapesztu, powstała gazetka „Rom som". Zamknięto ją na skutek prowokacji politycznej. Komitet rządowy ds. romskich przy urzędzie premiera poprosił nas, abyśmy napisali, czego naszym zdaniem potrzeba romskiej społeczności, a kiedy napisaliśmy, że teatru, czasopism, muzeum, centrum kultury, komitet zdecydował, że jesteśmy skrajnymi nacjonalistami, i to niewielkie pismo zamknięto.

Kiedy to było?
- W połowie lat 70. W końcu lat 70. władze zdecydowały, że Romowie mogą tworzyć swoje kluby i zajmować się działalnością kulturalną. Z drugiej jednak strony poddawani byli inwigilacji.
Ale kiedy w 1978 roku nieformalna grupa młodej romskiej inteligencji, w której działałam, zabrała na obóz młodzieżowy w Balatonszemes grupę młodych Romów, działy się niesamowite rzeczy! Na obozie było dwa tysiące uczestników, nasza grupa liczyła tylko 15-20 osób. Ale u nas ciągle coś się działo, przyjeżdżali pisarze, poeci, były odczyty, dyskusje, pokazy filmów, konkursy. A potem okazało się, że wokół nas powstała duża, 100-200 -osobowa grupa, nie tylko Romów. Przyjechali wypoczywać, ale zainteresowało ich to, co robiliśmy. Naszym chłopakom nigdy tak dobrze nie było. Wieczorami grali muzykę, a wokół siedział wianuszek wpatrzonych w nich dziewczyn...
Kiedy w 1991 roku ruszył w telewizji program romski, początkowo robili go naukowcy, socjologowie, redaktorzy. Ówczesny przewodniczący telewizji zaprosił na rozmowę grupę przedstawicieli inteligencji romskiej, także mnie. Powiedzieliśmy, że program byłby bardziej autentyczny, gdyby reporterami byli też Romowie i gdyby można było wypowiadać się także po romsku. W lecie 1992 roku zaczęły się przygotowania, 6 września ruszył 25-minutowy program „Patrin" (czyli „wiadomość"). Początkowo nadawany był w soboty o ósmej. Mieliśmy olbrzymią oglądalność. Do ósmej Romowie

> „Polityka, nie szuka wśród Romów partnerów, ale poddanych"

nie wstawali z łóżka, nie ruszali na rynek, nawet jak zaczęli coś gotować, zdejmowali to z ognia, żeby obejrzeć program. I tak jak w okresie mojego dzieciństwa wszyscy rozmawiali o programie.
Bardzo ważne było dla nas, żeby nie kierować programu tylko do Romów, żeby nasze problemy stały się zrozumiałe również dla świata zewnętrznego. Dlatego jeśli ktoś mówił po romsku, dawaliśmy napisy. W programie była muzyka, poezja, sztuki wizualne, polityka - szybko okazało się, że jest za krótki. To był dla nas dobry czas. W telewizji kierowanej przez Elemera Hankissa panowała wolność i poczucie odpowiedzialności.

Jaka jest dziś sytuacja romskich mediów?
- Po upadku socjalizmu zaczęły się pojawiać czasopisma romskie. Wydawały je największe organizacje, najpierw Stowarzyszenie Phralipe, potem Lungo Drom, a także Krajowy Romski Samorząd Mniejszościowy. György Rostás-Farkas publikował bardzo ciekawy kwartalnik „Kethano Drom". Najbardziej politycznym z nich był „Amaro Drom", wydawany przez Roma Parlament. Większość z nich, niestety, nie przetrwała. Od śmierci Béli Osztojkána nie ukazuje się „Phralipe", poeta Attila Balogh, który wydawał „Cigányfuró", nie zdobył wsparcia na ostatni numer. Z pieniędzy na mniejszości nie daje się wygospodarować środków na pisma na dobrym poziomie. To taka polityka, która wśród Romów nie szuka partnerów, ale poddanych. Każda partia polityczna jest w tej kwestii taka sama.
W radiu publicznym jest półgodzinny program romski i 25-minutowy w telewizji. Robiłam go do 1998 roku, kiedy przeprowadzono powszechną czystkę w mediach.

Może sytuacja mediów internetowych jest lepsza?
- Jest kilka stron internetowych, utrzymujących, że są „pierwszym romskim portalem informacyjnym", a przy tym zajmujących się publikacją informacji z innych źródeł. Najlepsze z nich to Romnet i C-press. Romnet był pierwszy, powstał dzięki wolontariuszom z Romaversitas - programu wspierającego młodych Romów studiujących na wyższych uczelniach. Obecnie działa już raczej jako firma redaktora Csaby Bádera. Nie ma tam już studentów z Romaversitas, nie ma dziennikarzy, są tylko informacje pozyskiwane z innych źródeł. C-press ma jeszcze swoje materiały i jest miejscem dla publicznych dyskusji, czytelnicy mogą się do nich włączać.

Czy na Węgrzech liczą się międzynarodowe media romskie?
- Istnieją międzynarodowe media, np. Roma Virtual Network, jest radio w internecie, są też strony takie jak sosinet.hu. Nie wolno też zapomnieć o stronie amenca.org, którą robią wyrzuceni dziennikarze telewizyjni. Jej geneza to zresztą dość niemiła historia. Zespół, który do niedawna robił program romski w telewizji, nie zgadzał się z sytuacją, że w telewizji nie ma dziennikarzy romskich, a ci, którzy są, zajmują się tylko tematyką romską. Zainicjował więc program Roma Produkciós Iroda, w ramach którego zorganizowano szkolenia, finansowane z pieniędzy unijnych, przygotowujące do różnych zawodów związanych z radiem czy telewizją: montażysta, kierownik produkcji, redaktor itd. Kończący szkolenia mieli trafiać do różnych redakcji. I kiedy projekt już miał zacząć przynosić owoce, jego twórców wyrzucono z pracy. Wszystko to zdarzyło się teraz.

Jest też strona Roma Women, która cieszy się największą popularnością, stworzona przez fundację Romedia, którą założyłam w 1992 roku. Obecnie robią ją Katalin Bársony, Marion Kurucz, Áron Kőszeg, Elemér Sánta. Istnieją jej wersje także w języku angielskim i francuskim. O tym, jak wiele jest do zrobienia dla romskich kobiet, świadczą pojawiające się na stronie cotygodniowe „świadectwa" kobiet.
Jest także realizowany projekt „Mundi Romani", który powstał w telewizji Duna. Zawiera 43 filmy dokumentalne o tematyce romskiej, wszystko do obejrzenia w internecie na mundiromani.com.

Pani i János Bársony napisaliście książkę „Pharrajimos. Los Romów podczas Holocaustu". Ukazała się w 2005 roku. Jak zrodził się jej pomysł?
- Ta historia sięga lat 70. Reżyser József Lojkó Lakatos próbował mnie i męża namówić, byśmy zajęli się tym okresem Zagłady. Zrobił na ten temat film dyplomowy „Elfelejtett Holocaust" (Zapomniany Holocaust). Nie byliśmy przekonani do tego pomysłu, uważając, że tyle już na ten temat napisano - co nowego można jeszcze powiedzieć? Dopiero w połowie lat 90. uświadomiłam sobie wagę tego tematu, spotkawszy się z wujem mojej mamy. Dowiedziałam się, że on też ma swoją skrywaną historię. Był w obozie koncentracyjnym Muna koło Buchenwaldu i nigdy nie opowiadał o tym nawet swoim synom. Chciał zapomnieć, nie chciał, by jego synowie poznali te okropności.

To częsta postawa wśród Romów?
- Bardzo.

Nie było prób spisania relacji z okresu Zagłady?
- Wśród Romów - nie.

Dlaczego?
- Romowie nie mieli po wojnie swojej inteligencji, Kościoła, instytucji. Aż do 1976 roku nazistowskie kartoteki „elementów asocjalnych", a każdy Rom był za takiego uważany, nie były otwierane. To, co się stało z Romami, to nieuznany Holocaust. Najczęściej słyszy się, że „ci, których wywieźli, to byli kryminaliści". A ja od wuja wiem, jak było naprawdę. Ustawy dotyczące internowania Romów istniały już wcześniej, od 1928 roku! Żandarmi, policjanci mogli prześladować Romów, kiedy tylko chcieli. Byliśmy poza prawem! Przeżycie było możliwe tylko dzięki dobrym stosunkom z wsią. Chłopi chronili swoich Romów także dlatego, że potrzebowali siły roboczej. Gdy zbliżał się front i trzeba było zastraszyć ludność, zaczęto od Romów. Albo mordowano wszystkich we wsi, albo tylko biedniejszych, muzyków zostawiając w spokoju. I nie jest prawdą, że to się działo tylko na zachodzie Węgier.
W 2001 roku trwały procesy odszkodowawcze przeciwko bankom szwajcarskim. W sądzie amerykańskim, gdzie się odbywały, zauważono, że wśród skarżących nie ma Romów. Czemu, spytano, przecież Romów też dotknęły prześladowania rasowe. W konsekwencji w 17 krajach powołano romskie grupy występujące o odszkodowania. Ich zadaniem było przekazanie informacji o procesie tym, którzy przeżyli lub ich potomkom, by zgłosili roszczenia. Tak więc trzeba było sądu amerykańskiego, by sprawa stała się publiczna... Kierowałam taką grupą na Węgrzech, pomagałam szukać poszkodowanych także w innych krajach. Zebraliśmy wypełnione kwestionariusze, spisaliśmy protokoły i wtedy uświadomiliśmy sobie ze zdziwieniem, ile jest tych skrywanych, nieopowiedzianych historii.

Czy ktoś jeszcze zajmował się tematyką romskiej Zagłady na Węgrzech?
- Tylko my. Specjalistą od Holocaustu jest László Karsai. Jego ojciec przeżył Zagładę. Miklós Jancsó zrobił z nim wywiad, w którym ojciec László Karsaia powiedział, że ten aspekt Holocaustu jest do dzisiaj białą plamą. Sam Karsai za wiarygodne uważa jedynie źródła pisane. A w dodatku nie potrafi ich dobrze wykorzystać. Znaleźliśmy na przykład skrawek papieru wielkości dłoni, na którym żupan województwa Ugocsa prosi ministra spraw wewnętrznych, by mógł tak się obchodzić z Romami jak w sąsiednich województwach. Oznaczało to przerzucenie ich za granicę, gdzie wymordowałyby ich Einsatzgruppen. Nie ma Kamieńca Podolskiego ani Babiego Jaru bez ofiar romskich, ale o tym się nie mówi.

> Historia to narracja, może ją pisać także mniejszość

Czy książka miała jakiś oddźwięk?
- Prezentowaliśmy ją na konferencjach naukowych, w tych kręgach ją zauważono. Rada Europy uwzględniła ją w programie „Teaching about Holocaust". Pod kierownictwem austriackiego profesora Gerharda Baumgartnera powstała grupa badająca romską Zagładę.
Dzięki kampanii informacyjnej romskich grup występujących o odszkodowania powstała na Węgrzech spora baza danych. Udało się spisać historię cierpienia w 570 miejscowościach, które nie rozliczyły się ze swoich romskich ofiar. Teraz badania trzeba kontynuować na miejscu. Na konferencji zorganizowanej w Węgierskiej Akademii Nauk w 2004 roku János Bársony wygłosił wykład, w trakcie którego pokazał skrawek papieru z Ugocsa. Ciekawa była reakcja Lászlo Karsaia, który ze zdumieniem stwierdził, że spotkał się już z podobnymi dokumentami...
Historia to narracja. Tę narrację może pisać większość, ale także mniejszość. Ale do tego niezbędna jest inteligencja jako klasa społeczna. Tymczasem najwybitniejsi przedstawiciele inteligencji romskiej są dziś na Węgrzech bez pracy. To, że ja ją mam, to wielki przywilej. Nasz największy badacz, Károly Bari, nie jest w stanie zdobyć środków na badanie ludowej kultury romskiej. Mój mąż jest praktycznie bezrobotny. Gusztáv Balázs wyjechał za pracą za granicę, a ma doktorat z antropologii! Melinda Rézmüves próbuje wyżyć z muzeum, które założyła. Nasi artyści głodują, nie mamy instytucji, muzeum, teatru, centrum kulturalnego, ośrodka badawczego, czasopism, wydawnictw.
Nieprzypadkowo nowy faszyzm odnosi takie sukcesy na Węgrzech - bo aktywną inteligencję romską całkowicie usunięto z życia publicznego. Nieprzyjaciel zwyciężył bardziej niż w czasach komunizmu. Ma się świetnie. To władza większości. Dalej już niczego nie powiem!

Jak powstała Phralipe?
- Jednocześnie z partiami politycznymi w okresie przemian ustrojowych - 15 kwietnia 1989 roku. Organizacja nie istniała jeszcze formalnie, kiedy wzięliśmy udział w pracy komisji badającej sprawę romskiego getta w Misz-

kolcu. Rządząca jeszcze wtedy partia komunistyczna chciała stworzyć getto dla Romów: wybudować małe domki na terenach bagiennych kilka kilometrów od miasta. Nie byłoby tam szkół, żadnych instytucji, komunikacji ze światem. Komisji udało się w ciągu miesiąca wstrzymać tę decyzję.
Członkami Phralipe byli nie tylko Romowie, ale i ci, którzy chcieli zmiany sytuacji Romów. Organizacja zajmowała stanowisko w sprawach o wadze krajowej, cieszyła się międzynarodowym szacunkiem. Musieliśmy zdecydować, czy mamy być organizacją inteligencką, czy masową. Zdecydowaliśmy, że chcemy dotrzeć do jak największej liczby ludzi. Otworzyliśmy się też na inne romskie organizacje, które oczekiwały od nas pomocy. Założyliśmy więc Roma Parlament, który miał być miejscem do uzgadniania stanowisk. Rząd i część polityków romskich chcieli, żeby stronę romską reprezentował jeden partner dla rządu - król, a nie wiele organizacji. Byłam temu przeciwna, chciałam, by parlament był organizacją pluralistyczną i miejscem dla uzgadniania stanowisk. Czas pokazał, że miałam rację. Partie polityczne nie myślały o tym, by Romowie mogli brać udział w przemianach ustrojowych. W efekcie te przemiany poczyniły nam najwięcej szkód. 70-80 procent Romów jest bezrobotnych, rośnie kolejne pokolenie pozbawione pracy. Rządowe i unijne środki, które miały poprawić los Romów, docierają do potrzebujących tylko w nikłej części - według kontroli Urzędu Nadzoru Bankowego z 2009 roku ze 120 miliardów forintów przeznaczonych na wspieranie Romów trafiło do nich tylko 10 procent tej kwoty. Powszechna jest segregacja. Nie mieszkamy, nie pracujemy, nie bawimy się już razem, nasze dzieci już się razem nie uczą. Skrajne paramilitarne organizacje ciągną polityczne profity z antyromskości, przyczyniając się do wzrostu zagrożenia neofaszyzmem. Bardzo żałuję, że partie polityczne, zajęte walką o okruchy władzy, nie potrafią przemówić jednym głosem przeciwko neofaszystowskiemu zagrożeniu. W prawdziwych demokracjach partie potrafiły się jednoczyć wobec takiego niebezpieczeństwa, u nas nie.

Czy kultura polityczna i organizacyjna wśród Romów zmieniła się w ciągu ostatnich 20 lat?
- System samorządów mniejszościowych jest z jednej strony pożyteczny, bo daje Romom jakąś formę organizacyjną, z drugiej jednak zrzuca się na nie wszystkie problemy. Samorządy nie mają ani wystarczających środków, ani władzy i umiejętności, by je rozwiązywać. Dlatego myślę, że w tej sytuacji system samorządów mniejszościowych jest zbędny.
Dziś cały trzeci sektor na Węgrzech znajduje się w nadzwyczaj trudnej sytuacji. Partie polityczne traktują organizacje społeczne jako swoich klientów. Zależymy bardzo od polityki, mamy mało środków, rozdział pieniędzy dokonywany jest w sposób arbitralny - i także z ingerencją polityki. Partie wykorzystują organizacje mniejszościowe, zwłaszcza romskie, instrumentalnie - do celów wyborczych.
Jedynym wyjściem z tej sytuacji byłoby powstanie partii romskiej.

Była już taka próba w poprzednich wyborach.
- Owszem, ale rezultat okazał się raczej przygnębiający. Partia nie była wiarygodna, brakowało jej ideologii, struktur. Romowie muszą się nauczyć, że jeśli chcą mieć wpływ na swoje życie, nie mogą oddawać głosu za konserwę, muszą stworzyć własne organizacje za własne pieniądze.

> Powszechna jest segregacja. Nie mieszkamy, nie pracujemy, nie bawimy się już razem, nasze dzieci już się razem nie uczą

Czy istnieje szansa na powstanie takiej partii?
- Mam taką nadzieję.

Kiedy?
- Nie wiem, może tego nie dożyję, ale bardzo chciałabym, by młodzi ludzie nad tym pracowali. Swoją drogą dobrze byłoby, gdyby w każdej partii byli politycy romscy, jak na przykład József Varga w Fidesz. Uważam, że to bardzo przyzwoity, uczciwy człowiek. Z drugiej jednak strony, kiedy ktoś zacznie działać w partii, staje się jej członkiem i przestaje reprezentować interesy Romów. Dlatego dopóki Romowie nie będą mieć własnej reprezentacji, nikt nie będzie dbał o ich interesy.

Czy przez tych 40 lat, jakie minęły od konkursu „Ki mit tud", sytuacja Romów poprawiła się czy pogorszyła?
- Pogorszyła się. A czy coś daje podstawę do nadziei? Czarno widzę przyszłość, bo nie ma takiej siły politycznej, która chciałaby i mogła coś zmienić. Takie nadzieje wiązaliśmy z członkostwem w Unii Europejskiej i co z tego wyszło?
Tworzymy jakieś 10 procent społeczeństwa. Czy naprawdę nigdy niczego nie zrobiliśmy? Czy tylko pasożytujemy na kraju? Dla nas nic już nie zostaje?

A jednak następują zmiany w systemie oświaty. Wielu młodych Romów uczy się, studiuje i - co ważne - nie wyrzekają się swojego pochodzenia jak kiedyś. Czy to nie daje nadziei na przyszłość?
- Daje. Duża w tych zmianach jest rola fundacji Sorosa i organizacji społecznych, a przede wszystkim programu edukacyjnego Romaversitas. W rocznicę powstania 1956 roku młodzi zorganizowali obchody pod tablicą Ilonki Szabó, młodej Romki, która mimo ciąży wzięła udział w powstaniu i zginęła. Pomyślałam sobie, że nie żyłam nadaremnie. Mój mąż napisał jej historię, trafiła do podręczników. Minęło sześć lat i wiedza o niej trafiła do powszechnej świadomości. Ludzie mówią: mamy święto narodowe, my też pójdziemy je uczcić. Dla nas jest ważne, że jesteśmy częścią narodu i że wzięliśmy udział w największym węgierskim powstaniu. I że nie damy odebrać sobie naszej historii.
Tegoroczne obchody zorganizowali młodzi - następna generacja. Oni już wiedzą jak, mają odwagę i chcą pozostać Romami, co więcej - chcą być dumnymi Romami. To daje nadzieję.

Jerzy Celichowski

Kruszyna z mężem Tadeuszem, Oświęcim 2012

KOBIETY O KOBIETACH

Kruszyna

> Na razie dzieci nasze dobrze się sprawują. A jak coś które przeskrobie, to się ich ukara. Nie słowem, to trzeba ręką

mówi Kruszyna w rozmowie z Lidią Ostałowską i Joanną Talewicz-Kwiatkowską

Fotografie Piotr Wójcik

Urodziła się pani…
- W Bochni, i tam byłam chrzczona. Z Bochni wyruszaliśmy taborami; dawniej, jak się jeszcze wędrowało. A wie pani, nie było koni, tylko tłumoki t*akie* braliśmy na plecy. Szedł człowiek 10 czy 15 kilometrów, a jak zobaczył jakieś krzaczki, było jezioro czy rzeczka płynęła, no to tam zostawaliśmy w namiotach. Wodę rodzice ze strumyka brali albo deszczówkę przecedzali, gotowali, gary myli, nas kąpali. Wieczorem zapatulili człowieka w poduszkę i kocyk, i tak się chowaliśmy.
A zimą?
- Jak przyszła zima, to było najgorzej. Rodzice zbijali z drewna rusztowanie, ścinali trzcinę, robili baldachim, na to folia i liście duże, żeby ciepło utrzymać. Takie piecyki mieliśmy, kaczka mówili na to albo okrąglak, u kowala zamówione. Napalili drzewem, ugotowali coś na tym. Niby było ciepło, ale nie aż za ciepło. I jak był dobry sołtys, to ci to zostawił, a jak nie, to kazał zburzyć, zabierać się i wynocha. Wtedy szło się do drugiego lasu i od nowa.
Nie wynajmowaliście pokojów na zimę?
- Nie chcieli nas ludzie po prostu... Tylko czasem wpuszczali do stodoły.
A wasz tabor był liczny?
- Ze sześć rodzin, kilkadziesiąt osób. Myśmy się w kupie trzymali i później w kupie w Oświęcimiu osiedliśmy. W mojej rodzinie najpierw był jeden brat, drugi brat, ja, siostra. A trzech umarło, boby było nas siedmioro. Nie żyli długo, bo jak. Nie miało się meldunku, to lekarze nie chcieli przyjąć dzieci do szpitala. Chodziło się do znachorek, Polek, dawały zioła, ale nic nie pomagało.
Nigdzie nie zatrzymywaliście się na dłużej?
- Tutaj mieszkałam 24 godziny, tam trzy godziny, no i dalej, z miasta do miasta.
Aż przeszliśmy do Krakowa i tam parę lat koczowaliśmy w namiotach. Takie moje wychowanie było.
Kto zarabiał - mężczyźni czy kobiety?
- Więcej mężczyźni. Tatuś i bracia nieraz szli do jakiegoś gospodarza; chciał, żeby skosić, słomę pozbierać po młóceniu, to płacił. A ja z mamą szłam na wieś prosić o chleb, o jarzynę.
Ziemniaki?
- Wyrywaliśmy z pola.
Po kury trzeba było iść?
- Nieraz się kradło. Mamusia prosiła w drzwiach, a ja szłam od tyłu, łapnęłam dwie, trzy kury, dałam do fartucha, i: „Mamo, ja już idę!". A mama nic nie wiedziała. Jak była jakaś możliwa pani, co rozumiała, że nie mamy mieszkań, że stoimy z tymi namiotami, no to się litowała, jajka dała, kartofle dała, smalec, mleko. Ale niektóra kawałka chleba nie dała. Takaś cwana? No to poczekaj. I zawsze coś jej zapieprzyłam. Robiłam to, nie wypieram się, byłam niedobra.
Mama się złościła?
- O Boże kochany, ile razy dostałam za to! Bo później, jak panie się kapły, to dzwoniły na milicję. Przyjeżdżali, spisywali, mandat chcieli dać, a tu pieniędzy nie ma. Wyganiali albo się uciekało. Ale ja o to nie dbałam i dalej robiłam swoje. Bałam się bicia, to kłamałam. „Skąd to wzięłaś? Od pani dostałam". Ale wiecie co? Nie żałuję tamtego życia.

Lidia Ostałowska
- jedna z najwybitniejszych reporterek ostatniego dwudziestolecia, autorka serii reportaży o życiu Romów w Europie Środkowej i Wschodniej po komunizmie publikowanych w Gazecie Wyborczej, autorka książek „Cygan to Cygan" (2000, 2012) i „Farby wodne" (2011), współautorka wielu antologii reportażu, współautorka multimedialnej prezentacji o ruchu kobiecym w Polsce „Więcej koleżanek, mniej kolesi", na zlecenie organizacji pozarządowych prowadząca warsztaty dziennikarskie dla młodzieży i początkujących dziennikarzy.

Jak była jakaś możliwa pani, co rozumiała, że nie mamy mieszkań, że stoimy z tymi namiotami, no to się litowała, jajka dała, kartofle dała, smalec, mleko. Ale niektóra kawałka chleba nie dała. Takaś cwana?

Mamusia wróżyła?
- Mamusia nie, babcia moja, a ja nauczyłam się od babci. Niektóre kobiety wróżyły z kart, z włosów, z jajka, babcia tylko z ręki. Wpoiła mi te linie, te rozgałęzienia.
Nie kłamała, znała się na tym. I ci, co mieli problem, widzieli, że faktycznie jest, jak ona mówi. Byli z niej zadowoleni i nieraz znowu zawołali. Babcia stawała na ulicy albo do domów zapukała, że powróży. A ja z nią, miałam z siedem lat. Sprzątanie, pranie, gotowanie - tego znów uczyła mnie mamusia. W tym okresie więcej czasu z nią spędzałam, a chłopcy z tatusiem. Taką tradycję mieliśmy i mamy do tej pory.
Mama była surowa?
- Nie wolno, to nie wolno.
Karała?
- Jak kazała wysprzątać, poprać, iść po zakupy, a ja się zbuntowałam, to dostawałam karę, że dwa, trzy dni nie mogłam wyjść. Trzymała dyscyplinę.
Biła?
- Oczywiście.
Dawała prezenty?
- Za co miała kupić? Jak nadeszły święta, to pomarańcza, cukierki, czekolada były dla nas wielkim cymesem. Choinkę mieliśmy niziutką. Chłopcy zdzierali więcej łachów, więc coś z ubioru dostawali. A nam mamusia jakąś spineczkę, sweterek kupiła.
Mieliście zabawki?
- Czasem od jakiejś pani się dostało lalkę. Z zabawek mniejsze zadowolenie.
- Nie zazdrościła pani braciom?
- Nie, ale szybko się jeden brat ożenił, miał 16 lat i zaraz dziecko. To dziecko z nami dorastało. Mama, tatuś patrzyli w niego, jak nie wiem. Co tylko mieli, to jemu, a mnie i siostrze nic. Mama powtarzała: „Wy już jesteście większe, byle czym się zadowolicie, a on malutki". Czemu tak? Bo to chłopak był.
Chodziła pani do szkoły?
- Parę miesięcy. Nie dałam rady usiedzieć na miejscu, taka byłam dzika. Jestem analfabetką. Ale wszędzie się dogadam, po niemiecku, szwedzku, duńsku, po norwesku. A jak ktoś gwarą gada, też zaraz w to wchodzę.
A kto uczył panią romskich zasad?
- Mamusia. Kobieta musi umieć zachować się przy mężczyźnie, wiedzieć, jak przejść, z której strony stanąć, czego nie wolno, co wzgardzone u nas. Przykładowo taka tradycja, że jak się ma 11 czy 12 lat, to ucieka jedno z drugim. Mamusia tłumaczyła nieraz mnie i siostrze: „Jeżeli on ucieknie z tobą, to już twój mąż i masz z nim żyć".
Jak pani poznała męża?
- Miałam chyba 15 lat. Rodzice pojechali w swaty do jego rodziców. Później mi podali, kiedy zaręczyny i nie było dyskusji. Mógł być nawet połamany i garbaty, słowa nie wolno złamać. Po kryjomu poprosiłam brata: „Powiedz mamie, że ja nie chcę". To było już po zaręczynach. Tak mnie zbiła, że złamała mi rękę. Bo kto jest większy w rodzinie, ja czy ona?
A jak wyglądał ślub?
- Najstarszy w taborze wziął rękę moją, jego, związał chusteczką i powiedział,

żeby się nie rozłączać aż do śmierci i nie otwierać życia na inne życie. Później zabrał chusteczkę i każdy bił brawo. Trzy, cztery butelki alkoholu, trochę przekąsek, nie tak jak teraz, bo to było w lesie. Prawie 40 lat od tamtej pory minęło. Mamusię teście nauczyli, ona mnie i kazała tego samego uczyć moje dzieci. Żeby pokolenie za pokoleniem to szło, żeby nie zgubić swojego. Córki ożeniłam, jedna żyje już dziewiętnaście lat z mężem, druga szesnasty rok, trzecia dziesięć lat.

Po ślubie zmieniliście tabor?

- Nie. W taborze była jego i moja rodzina, połączyło się wszystko razem. Tylko namiot mieliśmy osobno. Musiałam sobie radę dać, żeby męża wychować, żeby zjadł, żeby mu to, żeby mu tamto... To co się należy.

Mama pomagała?

- Nie. Zawsze mówiła: „Tyle byłaś przy mnie, na tyle cię wychowywałam, że umiesz. A jak nie, to się zmusisz, bo cię do tego doprowadzi bieda". No i faktycznie tak było.

Twardo.

- I ja dla córek jestem twarda. Serce oddam, ale musi być, jak chcę.

Jak pani prowadziła gospodarstwo?

- Garnki, łyżki, miski, talerze, tego pilnowałam. Naczyń dla gości nie wolno było użytkować, stały wymyte, wytarte, schowane. Mężczyzna ma wszystko swoje, ręcznik, ścierki, poduszki, poszewki. Ten kubek jest twój, a ta szklanka moja. Jego i moich rzeczy nie można prać razem, bo to jest wzgardzone u nas, magerdo.

Jak pani prała?

- W lesie to się wykopywało dołek, ceratkę się dawało i dopiero się prało. Jak ktoś tarkę miał, to na tarce albo kamieniem. Ale ja przeważnie prałam w rękach.

A dziś?

- Jego rzeczy osobno piorę i prasuję, on ma swoją szafę, a ja swoją. Pralki są dwie.

Kiedy się osiedliliście?

- Już nie pamiętam dokładnie. Władza nie pozwalała wędrować. Tata i mama kupili wagon i ustawili w Oświęcimiu koło targu, a wujek cztery wagony nad Sołą. Niektóry miał tylko furmankę i konia, a niektóry wagon. Wagon to już był mercedes. Tatuś zaczął wtedy handlować końmi na jarmarkach, stajnię miał zaraz za mostem. Braci przyuczał, żeby sobie poradzili w życiu, jak go braknie. Pokazywał, ile zębów koń ma, czy jest psuj, żeby ktoś ich nie ocyganił. Dużo, dużo później mamusia dostała mieszkanie na Dąbrowskiego, pokój z kuchnią, a wujek dwa pokoje na Berka Joselewicza. To wtedy zostaliśmy osiedleni i zameldowani.

Łatwiej było?

- Z jednej strony radość, ale z drugiej długo się nie szło przyzwyczaić. Bo jak się urodziłam, to nie było tego ciepła domowego, co mam teraz, tylko zawsze na polu.

Jak się żyło młodym mężatkom?

- Jak się ożeniłam, to byłam na cztery fronty: sobie, mamie, teściom i jeszcze bratu. Takie życie przeszłam. Mężczyzna był górą i do dzisiejszego dnia jest. Kobieta gotowała, a czasami musiała zarobić i przynieść, co się należy. A nie, to było bicie. No, tradycja taka. Tata ostry był, bracia okropni. Stosowali, co mama w domu uczyła. Jak bratu nie smakowało, to garnkiem uderzył w głowę albo jedzenie wylał na kobietę i musiała jeszcze raz gotować. Przyszedł podpity, musiał mieć, co chciał. Nieraz jego żonie po kryjomu pieniądze dawałam, kupowałam, ubierałam ich od stóp do głów, że niby to ona zarobiła, ona przynosi, żeby nie bił.

Kobiety pozwalają tak sobą pomiatać?

- Są takie, że nie. Ja nie pozwalam, więcej dziś tego równouprawnienia. Jak coś mi nie pasuje, zwracam mężowi uwagę: „Już za daleko chciałbyś zajść, tak nie wolno". Ale nigdy przy ludziach.

Pani córki wychowały się w zupełnie innych warunkach.

- Za granicą są chowane. Eneida miała sześć miesięcy, jak pojechałam do Szwecji, Saida i Samira tam są rodzone. W 1981 roku wyjechał cały nasz Oświęcim, po pogromie. Szwecja nie Szwecja, podtrzymuję tradycję i moje dziewczyny też. Jak ktoś przyjdzie, nie muszę nic mówić, już one wiedzą, jak się odezwać i jak się zakręcić.

Same wybrały chłopaków?

- Swatowałam.

Nie sprzeciwiły się?

- Absolutnie.

Nie powiedziały ani słowa?

- Nie mogły i nie śmiały. „Za tydzień żenię was" i koniec.

Młodo je pani wydała za mąż?

- Eneida miała 16 lat, a Saida i Samira po 14.

Po co tak wcześnie ślub?

- Dla bezpieczeństwa. Dzisiaj ten świat taki odkryty na wszystko, narkomaństwo, zabijaństwo, cuda, jakie tylko mogą istnieć. Zdałam sobie sprawę, że jeden od drugiego się uczy i w to dno wchodzi. A ja znałam tych chłopaków, ich rodziców i obyczaje. Wszyscy mieszkali w Polsce. Zaswatowałam, żeby dzieci poszły w dobre ręce.

Ja wyglądają swaty?

- Jedzenie stawia się na stół, wypije się jeden, drugi kieliszek, no i gadka. „Przyjechałam w interesie tym i tym. Chcesz, to zgodzisz się ze mną, chcesz, to się nie zgodzisz". Jak wolę mieć zięcia u siebie, od razu przy swatowaniu muszę to powiedzieć. Że najpierw krótko będą u mnie, ja ich będę chować, a po tym okresie jestem odpowiedzialna za nich. Muszę im wyszykować mieszkanie, żeby poszli na swoje. Wszystkim trzem zięciom tak zrobiłam, takie dałam przy swatowaniu warunki.

A jakby się rodzice chłopców nie zgodzili?

- Wtedy bym się zastanowiła troszkę. Bobym nie zostawiła córek w Polsce. Tam mieszkam, chcę je mieć pod okiem.

Udali się zięciowie?

- Bardzo.

A gdyby nie?

- Tobym powiedziała: „Nie nadajesz się do życia z moją córką, nie dbasz o dzieci, o żonę, tylko robisz to, co ci nie wolno". Wtedy on jedzie do swojej matki, a ona zostaje w domu.

Mama może wyswatać, mama może rozwieść, a córki nie mają nic do powiedzenia?

- Chyba że się wytłumaczą. Muszę wiedzieć, bo biorę odpowiedzialność. Do rozwodu ma być poważna podstawa, inaczej ona by była wzgardzona. Córka musi rozumieć, że związałam ich na całe życie. On ma doprowa-

> Ta mała nie ma jeszcze ośmiu lat, a już jest gospodynią w domu, nie trzeba po niej poprawiać. Ona ugotuje, ona wypierze, ona wyprasuje i nie ma matka bidy z nią. Nie będzie skargi, jak pójdą do swatów

Joanna Talewicz-Kwiatkowska - Doktor Antropologii Kulturowej, adiunkt w Instytucie Studiów Międzykulturowych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stypendystka programu Fulbright (2015/16), stypendystka rządu amerykańskiego International Leadership Visitor Program(Women Leadership) oraz programu Komisji Europejskiej Marie Curie Conferences and Training Courses- Multi-Disciplinary and Cross-National Approaches to Romany Studies- a Model for Europe. Autorka książki pt. Wpływ aktywności finansowej Unii Europejskiej na położenie społeczne Romów w Polsce (2013), artykułów naukowych i popularno-naukowych na temat społeczności romskiej w Polsce i w Europie. Prezeska Fundacji Dialog-Pheniben, redaktorka naczelna kwartalnika społeczno-kulturalnego Dialog-Pheniben.

dzić do dobrego, nie do złego, a jeżeli się nie stosuje i chce swój wybryk pokazać, to ja mu na to nie pozwolę.

Co wtedy?

- Zbieramy się, jego i nasza rodzina. Rozchodzi się o to, że jak on wejdzie na przykład w alkohol, w gry, w te ruletki, to już nie wspólnota. On ją okłamuje i okrada, to nie jest mąż i nie zięć. A przy swatowaniu dajemy warunek, rodzice jego wiedzą i on wie, że tak nie wolno. A jak nie dojdziemy w rodzinach do porozumienia, to jedziemy do króla i król daje rękę na to. Jego wzgardzi, ona żyje z dziećmi i nie mają powrotu jeden do drugiego.

Ale na razie dzieci nasze dobrze się sprawują. A jak coś które przeskrobie, to się ich ukara.

Jak?

- Jak nie słowem, to trzeba ręką.

A gdyby się córka poskarżyła, że ją mąż uderzył?

- Tobym go zabiła. Zabiłabym, jak Boga szczerze kocham. „Tyś jej życie dał, tyś ją chował? Ty masz ją bić? Za co? Za to, że ciebie wychowałam, ją wychowałam i doprowadziłam do rodziny?". No, może tam nieraz coś jest, tylko nie wiem tego. Bo jeżeli chcesz tolerować, to tak sobie żyj, tylko nie przychodź się skarżyć. A jeżeli się już poskarżyłaś, to musi być reakcja. Jemu też krzywdy nie dam zrobić. Gdyby moja córka zasłużyła i bez dania racji kłótnię mu wywołała, to ja jej na to nie pozwolę, muszę skarcić.

Oboje są pani dziećmi.

- Oczywiście, że tak. I dlatego dobrze jest u nas.

Żadna córka nie płakała: „Mamo, źle mi wybrałaś"?

- Ani jedna.

Szybko im się dzieci urodziły?

- W rok.

To tak trzeba?

- Nie trzeba, tylko durne były! Bo ja to byłam mądra, miałam dopiero po trzech latach! Dwa razy przerwałam. Najpierw trzeba mieć kąt, dojść do czegoś, żeby dzieciom nic nie brakowało.

A pomaga im pani?

- Oczywiście.

To inaczej niż pani mama.

- Bo wtedy nie było warunków. Teraz wychowuję wnuki. Grecja miała półtora miesiąca, jak ją wzięłam, zaraz po chrzcinach; trzymałam do 13 lat. Gabrielę od starszej córki to samo…

Wszystkie dzieci pani zgarnęła?

- Wszystkie, a każda urodziła trójkę. Córki jeszcze zielono miały w głowie.

Uzgodniła to pani z nimi?

- Nie, wzięłam i chowałam.

Co na to młodzi?

- Nic, swatowie też się zgodzili. Mieszkamy z dziećmi niedaleko, właściwie wspólnie chowaliśmy, tyle że wnuczki ze mną jeździły na handel, ze mną spały. Myślałam sobie: „Jak mnie nie będzie, to może coś nie tak wyjść". Ta mała nie ma jeszcze ośmiu lat, a już jest gospodynią w domu, nie trzeba po niej poprawiać. Ona ugotuje, ona wypierze, ona wyprasuje i nie ma matka bidy z nią. Nie będzie skargi, jak pójdą do swatów. A córkom do dziś zakazuję na plotki chodzić i z niektórymi koleżankami się zadawać.

> Kobieta musi umieć zachować się przy mężczyźnie, wiedzieć, jak przejść, z której strony stanąć, czego nie wolno, co wzgardzone u nas. Jak się ma 11 czy 12 lat, to ucieka jedno z drugim. Mamusia tłumaczyła nieraz: „Jeżeli on ucieknie z tobą, to już twój mąż i masz z nim żyć"

Córki się uczyły?

- Wszystkie kończyły szkoły w Szwecji, już żonami i matkami były. Najstarsza tylko fryzjerstwo. Młodsza chciała na tłumacza, ale się nie zgodziłam, bo nam tradycja nie pozwala pracować dla policji. Tamta znów chciała iść na pielęgniarkę, a tego też u nas nie wolno. To jej przetłumaczyłam, żeby w przedszkolu dzieci pilnowała i córka się zgodziła. A druga poszła na krawiectwo. Bo w Szwecji, jak otworzysz butik, to zarabiasz.

Ale wnuczki szkołę i męża pewno już same wybiorą?

- No jak? Nie będzie to możliwe. Nawet jak uciekną z chłopakiem, nie pozwolę i tyle! Chyba że rodzina dobra. Po co się pchać, ten chleb gorzki bardzo. Niech skończy szkoły, niech dojdzie choć do 18 lat, żeby wiedziała, co się jej należy.

Jak wnuczki żyją w Szwecji?

- Grecja ma 14 lat, uczy się na kucharkę. Ona uwielbia gotować, uwielbia piec. Ile ma przepisów! Mówię: „Da ci babcia na prawo jazdy, na samochód, idź na kurs". Nie ma zamiłowania do tego, tylko kuchnia. Pytam: „Co ci z takiego zawodu?". A ona: „Babciu, chcę do restauracji".

Żyje wśród Szwedów?

- To mi nie przeszkadza. W szkole dziewczynki mają gimnastykę i basen, ale osobno, wcale nie spotykają się z chłopcami. Nie zadają się z kolegami w klasie. Dyrektor wie, jak każemy się dzieciom zachowywać i szanuje to. A ze szkoły prosto do domu. Grecja to zrozumie, Gabriela to samo, Graciela i Raisa też. Wrócą, żadne internety, fejsbuki jakieś albo esemesy. Tego nie znają.

Zapraszają gości?

- Nieraz jak mają urodziny, to mówię: „Jeżeli chcą przyjść wasze koleżanki, to bardzo proszę, ale Szwedki nie". Arabskie dzieci przychodzą, dziewczynki w chustach, a ich mamusie wiedzą, pozwalają. Bo Arabowie mają taką tradycję jak my. Dziecka nie puszczą do byle kogo.

Lidia Ostałowska
Joanna Talewicz-Kwiatkowska

Młoda mężatka z grupy Polska Roma przestrzega zasad, a wypełniając obowiązki, zachowuje czystość i staranność. Tego właśnie się od niej wymaga, ale nie na tym kończą się oczekiwania. Nie wolno jej nosić spodni, tylko długie spódnice. Musi zakrywać ramiona. Makijaż i manicure - od wielkiego dzwonu albo wcale. Krótkie włosy sugerują, że kobietę ukarano za czyn sprzeczny z romanipen, powszechnie nosi się długie. I upięte, żeby nie prowokować mężczyzn. Preferowany jest tradycyjny kok, grzywka odpada. Kolczyki, broszki, pierścionki - bez limitu.
Fatima. Chrzanów, 2012 r.

Kiedyś często od energii romskich kobiet zależał poziom życia rodziny. Bywało, że harowały ponad siły. Dziś pojawiły się kobiety „domowe”, na które zarabia mąż. Zajęte są porządkami, dziećmi, kuchnią i wymianą plotek. Przypuszcza się, że ten nowy wzorzec służy ochronie ich czystości przed zagrożeniami zewnętrznego świata. Bo to właśnie kobiety zapewniają kulturze ciągłość.
Krysia, Dziewa, Bogusia i Dzidzia. Gliwice, 2012 r.

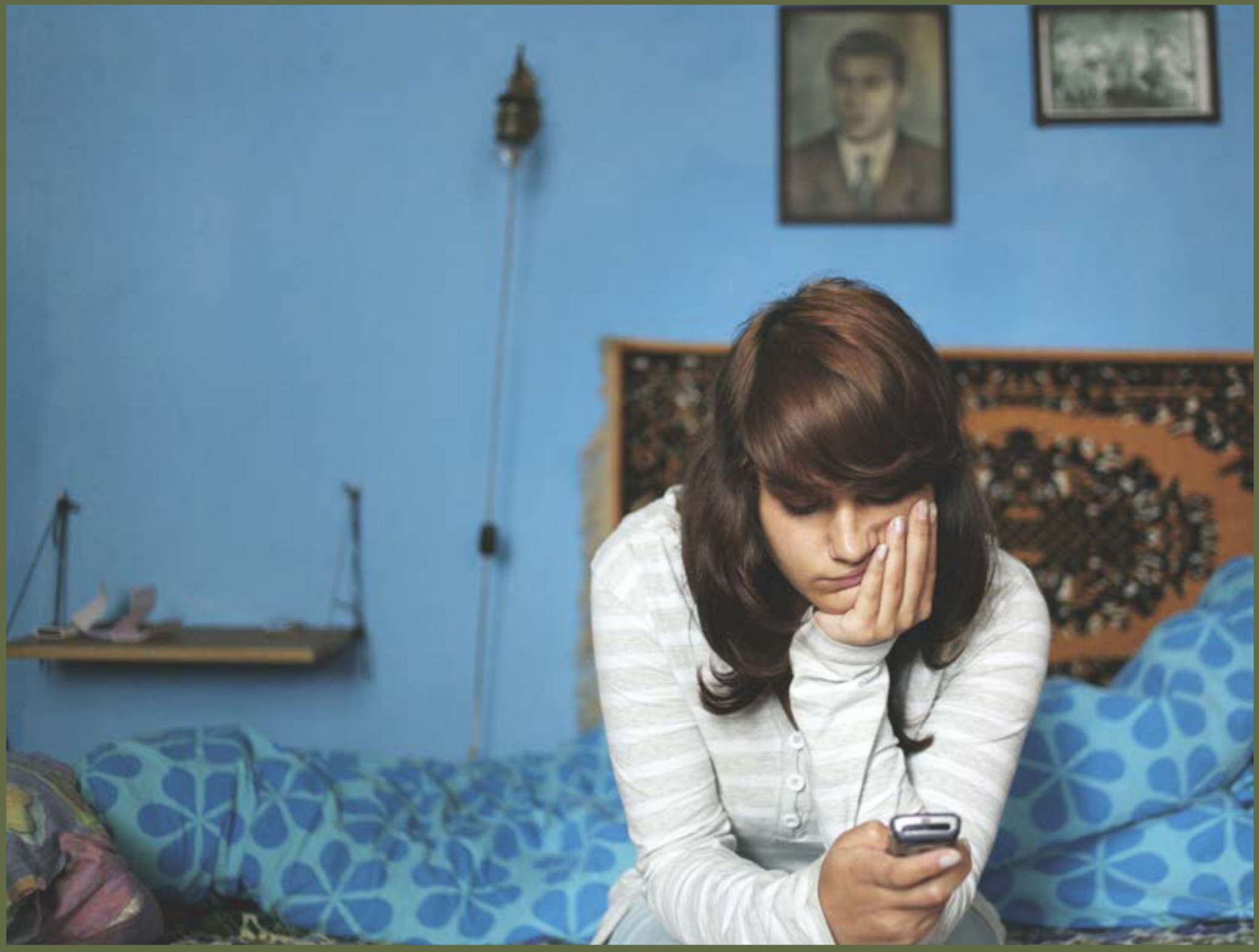

Dzieci polskie i romskie chodzą do tych samych szkół, przeglądają te same pisma, słuchają tej samej muzyki. Profile młodych Romów w portalach społecznościowych pokazują, że ich idolami są bohaterowie seriali, którymi interesują się młodzi Polacy. W żadnej z romskich grup nie wolno swobodnie randkować, a kontakty są pod kontrolą. Dziewczęta traktowane są surowo. Trochę oddechu dają im komórka i internet. Lucyna. Chorzów, 2012 r.

Phuri Romni - stara kobieta - korzysta z wielu przywilejów, bo jej moc kalająca ustała. Taką, która żyła z jednym mężem, dochowała się wielu dzieci i wnucząt, ma kryształową opinię, nazywa się phuri daj (stara matka).
To najwyższy kobiecy status. Szacowne romskie matrony uczestniczą w naradach starszyzny, w rozstrzyganiu sporów i nakładaniu kar, udzielają ślubów, zabierają głos w sprawach swego rodu. Najlepiej jednak, jeśli z tych możliwości zrezygnują, by w ten sposób okazać mężczyznom szacunek. Zauma. Będzin, 2012 r.

Podpisy do fotografii:
Lidia Ostałowska

Korzystałam z artykułu Marty Godlewskiej-Goski „Wzorce macierzyństwa wśród Romów mieszkających w Polsce. Przyczynek do analizy" zamieszczonego w tomie „Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce" pod redakcją Renaty E. Hryciuk i Elżbiety Korolczuk, Warszawa 2012.

Romka pyta Żyda o Zagładę

Konstanty Gebert Ludobójstwo popełniają ludzie moralni, którzy nie zwalają brudnej roboty na innych. Skoro uważają, że świat bez Żydów albo Romów będzie lepszy, to nie uchylą się od udziału w jego budowaniu.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska rozmawia z Konstantym Gebertem

Fot. Franciszek Mazur/Agencja Gazeta

Co różni dwa ludobójstwa?

Często słyszy się opinię, że narody żydowski i romski łączy wspólnota losu. Jedni i drudzy od wieków odgrywali rolę kozła ofiarnego. Jakie mechanizmy społeczne o tym decydowały?
– W drugiej połowie XIX wieku, kiedy Europa stawała się narodowa, Romowie i Żydzi nagle wypadli z europejskich ram. Romowie niemal z definicji, bo stanowili społeczność, która nie jest narodem politycznym. Na to wykluczenie nakładały się inne, wcześniejsze. Jeśli zaś chodzi o Żydów, wydawało się, że Europa ich przyjmuje. Emancypacja, jedna z idei rewolucji francuskiej, szerzyła się z zachodu na wschód. Żydzi uzyskali obywatelstwo i starali się być dobrymi Francuzami, dobrymi Niemcami. Pod koniec XIX wieku najpierw w Austrii i w Niemczech, a później także we Francji i na ziemiach polskich popularność zyskiwał pogląd, że naród to wspólnota krwi. Żydów z tej wspólnoty usunięto, na co reagowali osłupieniem.
Żydzi podzielali – w jakimś stopniu nadal podzielają – europejskie, rasistowskie uprzedzenia wobec Romów. Podczas Zagłady Żydzi i Romowie czasem ginęli obok siebie. Wyobrażam sobie ich zdumienie, kiedy zdali sobie sprawę, że jest ktoś traktowany równie źle. Niemcy zapewnili nam wspólnotę losu.
W ostatnim ćwierćwieczu w Europie doświadczenie Zagłady Romów usiłuje się interpretować w odniesieniu do doświadczenia żydowskiego. Moim zdaniem to niedobra droga, choć sama się narzuca. Żydzi są coraz bardziej świadomi, że Zagłada staje się wydarzeniem historycznym i musi rywalizować z ogromną liczbą innych zdarzeń. Trochę dla siebie nieoczekiwanie odkrywają w Romach sojuszników. Z kim jeszcze mamy taką wspólnotę? Może z Ormianami, może z rwandyjskimi Tutsi, może z Herrerą z Namibii. I to wszystko na przestrzeni całej historii ludzkości. Dzięki Bogu, że nie ma więcej narodów z takim doświadczeniem.
Uważam jednak, że należy zachować ostrożność. Mamy wspólne fundamentalne doświadczenia, sporo wspólnych politycznych interesów. Ale ani Żydzi, ani Romowie nie lubią, kiedy się ich przerabia, żeby bardziej do czegoś pasowali. Myślę, że obie strony zareagują uzasadnioną nieufnością, jeśli wspólnotą losu zacznie się manipulować.

Czy dostrzega Pan różnice w polityce narodowych socjalistów wobec Żydów i nas, Romów?
– Tak, chociaż uważam, że ten problem może być interesujący z punktu widzenia badań nad narodowym socjalizmem, dla doświadczenia mordowanych był bez znaczenia. Żydów demonizowano, definiowano jako wrogów i zarazę, toczono wojnę, by uwolnić od nich Europę. Romów wyłapywał inny radar. Ale należało się ich pozbyć, bo już na pierwszy rzut oka nie pasowali do Europy – ciemna skóra, analfabeci. W „przyzwoitej" Europie dla takich nie było miejsca.
Ludobójstwo na Romach wiązałbym raczej z akcją T4, czyli zabijaniem niepełnosprawnych i inwalidów.

Wciąż jednak toczą się naukowe spory na ten temat. Jehuda Bauer czy Steven Katz podkreślają, że prześladowania Romów nie miały na celu eksterminacji całej grupy z powodów rasowych. Innego zdania są między innymi Gabrielle Tyrnauer czy Ian Hancock, którzy twierdzą, że Romowie na równi z Żydami byli ofiarami Holokaustu.
– Romów mordowano dla higieny społecznej, a nie z pobudek rasowych. To różni te dwa ludobójstwa. Natomiast antysemityzm i ideologia higieny społecznej stanowią część tego samego światopoglądu. Poprzedzał narodowy socjalizm i wcale nie zginął razem z nim. Dlatego uważam, że analogie są ważniejsze od różnic. Pogląd Bauera ma ręce i nogi. Pytanie tylko, co z niego ma wynikać?

Konstanty Gebert
Pisarz i publicysta. Autor książek o Okrągłym Stole, wojnie w Bośni i współczesnym Izraelu. W latach 70. związany z KOR-em, współzałożyciel niezależnego Żydowskiego Uniwersytetu Latającego i Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów. W stanie wojennym jako Dawid Warszawski publikował w prasie podziemnej. Dziennikarz „Gazety Wyborczej", autor korespondencji z wojny w Bośni. W 1997 roku założył miesięcznik o tematyce żydowskiej „Midrasz", do 2000 roku pełnił w nim funkcję redaktora naczelnego.

> Ani Żydzi, ani Romowie nie lubią, jak się ich przerabia

Debata znalazła odzwierciedlenie w praktyce. Elie Wiesel sprzeciwiał się temu, by w zarządzie Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie zasiadał reprezentant Romów. Czy to jest konkurencja ofiar?
– Oczywiście.

Wypada to tak nazywać?
– Jeżeli jakieś zjawisko występuje – dwie grupy walczą o status ofiary – to powinno się je nazwać. W takiej rywalizacji jest coś brzydkiego etycznie, ale skąd pomysł, że bycie ofiarą uszlachetnia? Wcale nie, to złudzenie chrześcijan. Znam ludzi, którzy cierpieli i wyszli z tego szlachetniejsi, ale podejrzewam, że i bez cierpienia okazaliby się szlachetni. Natomiast zbiorowe cierpienie wcale nie uszlachetnia. Każe skupić się na własnym bólu, odbiera wrażliwość na ból innych. Właśnie to zdarzyło się Żydom, Polakom, Romom, Serbom, Kurdom, każdej grupie cierpiącej w historii. Trudno sobie wyobrazić, że może być większe cierpienie od naszego, a jeżeli ktoś tak mówi, to najpewniej chce je pomniejszyć.
Niektóre elity i środowiska żydowskie tak właśnie uważają. Odmawiają innym ofiarom ludobójstwa podobnego statusu ofiary, obawiają się trywializacji Zagłady. To może nieładne, ale psychologicznie zrozumiałe.

A jak się wiąże z obecnością Romów w Radzie Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie?
– Muzeum jest upolitycznione. Skład rady wiele mówi o polityce etnicznej w Stanach Zjednoczonych, mniej o historii Zagłady, więc nie ma to wielkiego znaczenia.
Uważam, że prawda historyczna i moralny wymiar bycia ofiarą nakazują nam solidarność. Mamy wspólnego wroga – zapomnienie. Dlatego w naszym wewnątrzżydowskim sporze sytuuję się na tym biegunie, który mocno podkreśla zasadność porównywania żydowskiego i romskiego losu podczas Zagłady.

Niektórzy twierdzą, że termin Holokaust odnosi się wyłącznie do ludobójstwa Żydów. A co z nami?
– Zjawiska są porównywalne, co nie znaczy, że takie same. Wasze porajmos oznacza Porajmos. Pewnie źle by się pani czuła, gdyby mówiono o Porajmos Ormian czy Tutsi. Sam mam problem ze słowem „Holokaust" ze względu na jego pierwotne greckie znaczenie – ofiara składana na ołtarzu. Ja w takiego Boga, który wymaga ofiar z ludzi, nie wierzę. Ani w to, że moi ludzie zostali spaleni w krematoriach, żeby dokonała się jakaś ofiara. Moi

ludzie zostali zamordowani i tak należy to nazywać. Nie używam słowa „Holokaust". Stosuję termin szoah, co znaczy tyle, co porajmos – Zagłada, wielka katastrofa. Uważam za zasadne, by każde ludobójstwo określać właściwym dla niego terminem. To pozwoli uniknąć rozpaczliwej i prowadzącej donikąd dyskusji o tym, które ludobójstwo było gorsze i na większą skalę. Bo czym mamy się kierować? Liczbą ofiar czy procentem zamordowanych do ogółu populacji? Nie ma co porównywać porajmos i szoah, każde jest jedyne w swojej kategorii.

Ze słowem „Porajmos" nie wszyscy się identyfikują, bo w niektórych dialektach romskiego oznacza pogwałcenie człowieczeństwa, ale także gwałt seksualny. Ostatnio popularność zyskuje inny termin – samudaripen, czyli ludobójstwo. Ciekawe, że został on ukuty wśród Romów bułgarskich, którzy podczas wojny byli względnie bezpieczni i nie doświadczyli Zagłady.
– Czyli macie to samo co my z Holokaustem i szoah. Co nie zmienia mojego stanowiska, że Zagładę Romów należy określać tak, jak nazywają ją sami Romowie. Nie warto bić się o słowa, bo tu nie ma nic do wygrania.

Jak się przebić z opowieścią o cierpieniu?

Mimo starań romskich organizacji i elit Zagłada Romów pozostaje zapomnianą kartą historii. Czemu tak się dzieje? I co zrobić, żeby to zmienić?
– Każda prześladowana grupa, patrząc na polityczny sukces pamięci o Zagładzie Żydów, chciałaby uzyskać to samo. To zrozumiałe, tyle że nieosiągalne. W przypadku Żydów stała się rzecz wyjątkowa – Europejczycy wymordowali Europejczyków. Żydzi, chociaż marginalizowani, byli przecież częścią Europy. Nigdy przedtem ani potem nie zdarzyło się, by powszechna pamięć o cierpieniu jakiejś grupy była jednocześnie pamięcią tej grupy. Zatem upamiętniając Zagładę Żydów, Europa upamiętnia to, co sama sobie zrobiła. Nie ma takiej świadomości w stosunku do Romów, ponieważ Romowie byli i są na marginesie. Chcieliby jednak, by pamięć o ich Zagładzie stała się pamięcią powszechną. To trudne z dwóch fundamentalnych powodów. Po pierwsze, Zagłada Żydów dotyczyła bezwzględnie wszystkich Żydów, tymczasem ludobójstwo Romów realizowano mniej konsekwentnie. Miało niższy priorytet polityczny.
Po drugie, kultura romska jest kulturą mówioną. To, co nie zostało przekazane i zapamiętane, zostaje bezpowrotnie utracone. Nie wiem, czy żydowska pamięć o Zagładzie mogłaby przetrwać w aż takim stopniu, gdyby Żydzi kompulsywnie nie pisali. Pisali nawet w piecach Auschwitz. Cały ten niesamowity zbiór żydowskich zapisków to fundament naszej pamięci.
Romowie tego nie mają, a pamięć o Zagładzie nie jest wśród nich powszechna. Dlatego oczekiwanie, że uda się powtórzyć sukces pamięci o Zagładzie Żydów, jest nierealistyczne. Żydzi upamiętnianiem zajęli się 20–30 lat po wojnie, wtedy jeszcze wydarzenia były świeże i stały się zarzewiem

> Zbiorowe cierpienie wcale nie uszlachetnia, każe skupić się na własnym bólu

pamięci. Dzisiaj ostatni świadkowie umierają, a Europa ma co innego na głowie. Przebicie się z kolejną opowieścią o cierpieniu wydaje mi się strasznie trudne.

Czy Romowie powinni budować swoją tożsamość wokół pamięci o Zagładzie?
– Odradzam, to zły pomysł – także gdy chodzi o Żydów. Wcześniej nie budowaliśmy naszej tożsamości wokół cierpienia. Gdybyśmy chcieli tak robić, to właściwie całe żydowskie życie musiałoby polegać na płaczu i pielgrzymowaniu od jednego miejsca męczeństwa do drugiego. Tożsamość żydowska znajdowała swoje źródła w tradycjach religijnych, świeckich, kulturowych, politycznych i zawsze była pozytywna. Mówiliśmy: Jesteśmy Żydami, bo studiujemy teksty. Jesteśmy Żydami, bo tworzymy instytucje, opiekujemy się sobą nawzajem. Jesteśmy Żydami, bo zachowujemy pamięć nie tylko o tym, co złe, ale i o tym, co dobre. To trudna tożsamość. Socjalizowanie do bycia członkiem społeczności żydowskiej trwa długo, jest męczące i żmudne. Trzeba masę czasu poświęcić na czytanie, gadanie, główkowanie, udział.
Tożsamość żydowska zbudowana wokół pamięci o Zagładzie stoi w radykalnej sprzeczności z tożsamością żydowską budowaną przez ostatnie trzy i pół tysiąca lat.
Ale pojawił się moralny imperatyw pamiętania o ofiarach. Tradycyjne żydostwo zaczęło się sypać, bo jego trzon został wymordowany. Pewnych tradycji czy instytucji nie dało się utrzymać. Tradycyjne żydowskie życie społeczno-intelektualne reagowało na nowoczesność i demokrację tym, że się integrowało, asymilowało i oddalało od tradycji. Zagłada przyspieszyła proces, który i tak się dokonywał. Zapanowało przerażenie, że to, co nie udało się Hitlerowi, wyniknie z naturalnego biegu wypadków i Żydów już nie będzie. Wydawało się, że pamięć o Zagładzie da zakorzenienie żydostwu raz na zawsze i że od tego żydostwa niczego więcej już się nie wymaga.
Trzeba też sobie powiedzieć, że pamięć o Zagładzie wywołuje nieraz przyjemne uczucie. Jestem ofiarą, a więc jestem moralnie lepszy i wszyscy inni mają obowiązek traktować mnie z atencją.

Taka postawa jest normą w niektórych środowiskach żydowskich.
– I okazała się nieskuteczna wobec młodzieży w stopniu zaskakującym. Wmawianie młodym ludziom: Bądź Żydem, bo gdybyś wtedy był Żydem, toby cię zabili, nie jest szczególnie przekonujące. Jeżeli młody człowiek ma być Żydem, to trzeba mu zaproponować coś więcej.
Uważam jednak, że Żydzi mogą sobie pozwolić na ryzyko związane z negatywnymi konsekwencjami budowania się wokół Zagłady. Bo istnieje tożsamość żydowska, która ją poprzedza, i ona moim zdaniem wygra ten historyczny wyścig.
Żydostwo europejskie jest naznaczone Zagładą. To element każdego wspomnienia rodzinnego. W początkach Izraela była przemilczana, ponieważ uważano ją za wstydliwą. Mówiono, że Żydzi poszli jak barany na rzeź. I że to dowód, do czego prowadzi diaspora, dla której alternatywą jest Izrael. Ale pamiętajmy – Izrael zbudowali ci, którzy przeżyli. Pamięci nie dało się stłumić, wbudowano ją w izraelską narrację państwową. Interesujące, że przejęli ją Żydzi z krajów arabskich, których Zagłada niemal nie dotknęła.

Młode pokolenie Sefardyjczyków urodzonych w Izraelu jak najbardziej uważa ją za swoje doświadczenie.

Zatem tożsamość ufundowana na pamięci o Zagładzie mimo wszystko łączy Żydów?
– Tak, ale Romowie mają gorzej. Presja, żeby wokół Zagłady budować własną tożsamość, idzie u was od góry, nie z dołu, od ludzi. W Izraelu było odwrotnie. A jeśli, nie daj Boże, wam się uda, istnieje duże ryzyko, że bycie Romem zredukuje się do roli ofiary. Bycie ofiarą to nie tożsamość. Bycie ofiarą to stan, z którego trzeba wyjść. Więc z tych powodów nie zalecam… Proszę mnie źle nie zrozumieć. Doświadczenie Zagłady pozostaje ważnym elementem tożsamości romskiej i żydowskiej, ale narody same wybierają, wokół czego chcą się budować. Myślę, że budowanie się wokół klęski zawsze okazuje się złe, co widać w polskich debatach.

Nie wszyscy Romowie doświadczyli Zagłady, ale Zagłada może połączyć zróżnicowaną społeczność. Poszukujemy spoiwa.
– Bycie ofiarą to destruktywny syndrom. Jestem słaby, jestem tylko przedmiotem, a nie podmiotem, i należy mi się więcej. Skoro mnie skrzywdziliście, to zadośćuczyńcie. Zadośćuczynienie nie nadejdzie, co oznacza sprowadzenie się do roli kogoś, kto będzie się wiecznie domagał.

A co z tymi, którzy nie chcą się poprawić?

Po 1945 roku doszło do ludobójstwa w Rwandzie, Republice Konga, Sudanie czy byłej Jugosławii. Co sprawia, że spirala nienawiści cyklicznie wymyka się spod kontroli i dochodzi do eskalacji okrucieństwa na masową skalę?
– Zapewne zna pani „Nowoczesność i Zagładę". Zygmunt Bauman postawił w niej tezę, która w 1989 roku wydawała się i horrendalna, i rewolucyjna. Stwierdził, że Zagłada nie jest nawrotem do barbarzyństwa, ale naturalną – tyle że wynaturzoną – konsekwencją oświeceniowej wizji świata. Zgadzam się z nim. Ludobójstwa, które nie są po prostu większą masakrą, to zjawisko nowe w historii ludzkości.

Czy to znaczy, że zabijanie jest ludzkie?
– Marek Edelman powtarzał: „Człowiek to coś, co lubi zabijać". Dlatego powinniśmy mieć ograniczone zaufanie do ludzi. Z panią i ze mną włącznie. Mamy to szczęście, że nas nie sprawdzono. Masakry towarzyszą nam od początków ludzkości. Ludobójstwo jest czymś zupełnie innym. Rozmawiałem z ludobójcami w Bośni i w Rwandzie. Mówili dokładnie to samo. Że zabijanie nie było dla nich żadną frajdą, to paskudne, ciężkie, nieprzyjemne zajęcie, ale ktoś musiał to zrobić. Ludobójstwo popełniają ludzie moralni, którzy nie zwalają brudnej roboty na innych. Skoro uważają, że świat bez Żydów albo Romów będzie lepszy, to nie uchylą się od udziału w jego budowaniu.
Masakry dokonują dranie.

Propaganda ma decydujące znaczenie?
– Jest niezbędna, aby przekonać ludzi, że świat bez jakiejś grupy byłby lepszy. Potrzebne są jeszcze media, szkoła i idea, że państwo ma obowiązek poprawiać byt obywateli. Ci, którzy w tym przeszkadzają – wariaci, przestępcy – powinni zostać usunięci z życia społecznego. Dzieci się socjalizuje, przestępców izoluje. A co z tymi, którzy nie chcą się poprawić, z Żydami, z Romami?

Trzeba się ich pozbyć.
– Hitler napisał, że stosunek narodowego socjalisty do Żydów przypomina stosunek lekarza do gruźlicy. Lekarz nie czuje nienawiści do prątków gruźlicy. Stwierdza, że ze swojego bakteryjnego punktu widzenia prątki mogą chcieć żyć. Ale musi je wyeliminować, żeby mogli żyć ludzie.

> W przypadku Żydów stała się rzecz wyjątkowa - Europejczycy wymordowali Europejczyków

I musi to zrobić jak najlepiej.
– Lekarz może czuć zadowolenie, kiedy uwierzy w lepszą wizję świata bez prątków, natomiast ich zabijanie nie sprawia mu przyjemności. Podobnie jak mordowanie Żydów czy Romów nie sprawiało niemieckim zabójcom przyjemności. Jak mordowanie Tutsi nie sprawiało hutyjskim ludobójcom przyjemności.
Roméo Dallaire, dowódca ONZ w Rwandzie, w książce „Ściskając rękę diabłu" opisał przygotowania do ludobójstwa i samo ludobójstwo, które zaczęło się w kwietniu 1994 roku. Zapamiętałem porażający akapit, brzmiał mniej więcej tak: „W lutym dostałem informację, że ministerstwo oświaty rozesłało do wszystkich nauczycieli okólnik, by sporządzili listy dzieci tutsijskich i hutyjskich. Trochę nas to zdziwiło, ale nie przykładaliśmy do tego większej wagi. Poza tym tyle innych rzeczy się działo".
Próbowałem sobie wyobrazić, że jestem rwandyjskim nauczycielem. Kiedy dostaję taką prośbę, zastanawiam się: a po cholerę im te dane, co to za pomysł? Ale zaraz myślę: ministerstwa wydają mnóstwo durnych okólników. Może chcą sprawdzić osiągnięcia szkolne dzieci? Albo przeznaczyć więcej środków na edukację tutsyjską czy hutyjską? Zresztą nie moja sprawa.
W Rwandzie chodziło o to, że Tutsi i Hutu często nie da się rozróżnić po wyglądzie, trzeba zajrzeć do dowodów osobistych. Dzieci nie miały dowodów, a dane, o które poproszono, były potrzebne do sporządzenia listy dzieci do zabicia.
Marzę o rwandyjskim, polskim, chińskim czy wszystko jedno jakim nauczycielu, który dostaje taki okólnik i myśli: nie! Dopóki mi nie przedstawią sensownych argumentów, do czego im potrzebne te dane, i nie odpowiedzą na wszystkie moje, nawet bezsensowne wątpliwości, to nie tylko nie wykonam polecenia, ale podniosę wrzask na cały kraj. To oni mają się przede mną wytłumaczyć!
Jak widać, ludobójstwo stosunkowo łatwo przeprowadzić. A jeżeli przy okazji nie przegra się wojny, ryzyko poniesienia odpowiedzialności jest niewielkie. Przecież Omar al-Baszir z Sudanu jest ścigany listem gończym, ale mam wrażenie, że nikt się tym szczególnie nie przejmuje.
Gdybyśmy pani i ja szczerze sobie powiedzieli: przydałoby się sporządzić listę ludzi, bez których świat byłby lepszy, to jestem pewien, że nie mielibyśmy problemu z jej zapełnieniem.
To dość powszechne podejście.

Europa wielokulturowa to niewypał?
„Romowie mają genetyczną skłonność do popełniania przestępstw". Na takie wypowiedzi pozwalają sobie czołowi europejscy politycy. Przypomina to przedwojenną propagandę skierowaną przeciwko Żydom lub Romom.

Czy nie powinny nam się włączyć dzwonki alarmowe?
– Zagłada Żydów nie powiodłaby się bez szwajcarskich bankierów, francuskich żandarmów, polskich chłopów, chorwackich ustaszy. Podobnie z Romami. Przecież nie żyli sobie w Europie bezpiecznie, dopóki nie pojawiła się SS. Teraz stopniowo wychodzi to na jaw.
Gdyby ktoś dzisiaj mówił, że Żydzi mają genetyczną skłonność do wywrotowości, a tak pisała w międzywojennej Polsce prasa katolicka, to zostałby wyśmiany i szybko przywołany do porządku, ponieważ wiemy już, do czego prowadzi ten język. Brakuje jednak odruchu sprzeciwu, gdy kieruje się go przeciw Romom.
Powody już wymieniałem. Wiedza o Zagładzie Romów nie upowszechniła się, a sami Romowie nigdy, nawet dziś, nie zostali uznani za równoprawnych Europejczyków. Nie uważam jednak, że istnieje wredna, paskudna Europa i bezradni, skrzywdzeni Romowie. Mamy problem. Nie wiemy, jak przeciwdziałać skutkom społecznym wielowiekowej izolacji i dyskryminacji Romów.
Ale ma pani całkowitą rację, powinny się odezwać dzwonki alarmowe.
W czerwcu oglądałem na Węgrzech debatę o „cygańskiej przestępczości". Nie dyskutuje się o tym, czy w ogóle istnieje coś takiego jak cygańska przestępczość, czy chodzi raczej o przestępczość ludzi biednych, wśród których są też Romowie. Rozmawia dwóch misiów w studiu, jeden uważa, że tych Cyganów należy do obozów wysłać, a drugi, że jednak nie. To pokazuje, jak można zdeformować debatę publiczną, gdy ma się dwie trzecie miejsc w parlamencie. A na pasku lecą komentarze typu: trzeba wytłuc czarnuchów. To, co było niedopuszczalne, zyskuje prawo obywatelskie.

W ubiegłym roku w Polsce jeden z serwisów telewizyjnych podał informację o szaleńcu, który w Bratysławie strzelał do ludzi z sąsiedztwa. Prowadząca program dziennikarka powiedziała, że wśród ofiar znalazła się rodzina romska, która – jak donieśli sąsiedzi – sprawiała problemy i zakłócała spokój mieszkańców. Koniec wiadomości, koniec komentarza.
– Proszę pani, jesteśmy w domu. W grudniu 1970 roku w Paryżu przy ulicy Kopernika był zamach na synagogę, zginęły trzy osoby. Tego samego dnia premier Francji powiedział: zginęły trzy osoby, w tym niewinny Francuz, pozostali to byli Żydzi. Tak się dzieje, kiedy pozwalamy, by myślały za nas stereotypy. Walka ze stereotypem to nie fiu-bździu poprawności politycznej, tylko elementarna higiena intelektualna, jak mycie rąk. Jeśli się rąk nie umyje, to będą śmierdziały, jeśli się głowy nie umyje, to też będzie śmierdzieć. Tak samo należy sprawdzać zawartość głowy i wyrzucać śmieci.

Edukacja antydyskryminacyjna w polskich szkołach nie istnieje.
– Nawet gdyby istniała, byłaby bezradna bez edukacji społecznej. Pouczające jest to, co zdarzyło się we Francji po wojnie. Na początku Francuzi z rozkoszą, podobnie jak Polacy, potępili niemiecki antysemityzm, potem całą niemiecką kuchnię. A jeszcze później dość niechętnie trzeba było przyznać, że francuski antysemityzm nie jest lepszy przez to, że jest francuski. Pogląd ten był cierpliwie i do znudzenia powtarzany przez wszystkie instytucje społeczne we Francji – szkoły, media, Kościoły, partie polityczne, związki zawodowe. Aż przekonanie, że antysemityzm jest złem, stało się powszechne. Liczby ideowych antysemitów przekonanych, że świat bez Żydów będzie lepszy, pewnie to nie zmniejszyło. Ale nauczyło ich, że nie ma przyzwolenia społecznego na głoszenie antysemickich poglądów. Podobnie działo się z rasizmem wobec Arabów. We Francji w dyskursie publicznym antyarabski napis nie przechodzi. Pomagają pozytywne stereotypy: co, nie lubisz Arabów, muzułmanów? Nie lubisz Zidana? Niestety, proces włączania Romów do społeczeństw europejskich przebiega tak powoli i opornie, że trudno podeprzeć się pozytywnym stereotypem.

> Ludobójstwo Romów miało niższy priorytet polityczny

Niedawno kanclerz Angela Merkel powiedziała, że w Niemczech wielokulturowość się nie udała. Być może Europa wielokulturowa to wielki niewypał?
– Kanclerz Merkel i wszyscy, którzy to mówią, mają rację. Sposób realizacji Europy wielokulturowej nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Czy to znaczy, że w demokracji społeczeństwa wielokulturowe po prostu nie wypalają? Proszę zwrócić uwagę, że pod mniej lub bardziej oświeconą dyktaturą Habsburgów czy sułtanów królewskich społeczeństwa wielokulturowe funkcjonowały w miarę przyzwoicie.
Być może w demokracji wielokulturowość musi być inna.

Porwaliśmy się z motyką na słońce?
– Więcej wielokulturowości – być może to jest odpowiedź na kryzys. Antybiotyk trzeba brać co sześć godzin przez dwa dni, inaczej nie zadziała. Ale jak przekonać kogoś, kto go zażywał prawidłowo, a mimo to nie poczuł się lepiej, że powinien wziąć jeszcze więcej tabletek?
A może nie nadajemy się do życia w społeczeństwie wielokulturowym? My wszyscy. Niezależnie od tego, jaki mamy kolor skóry, tożsamość etniczną, jaką religię wyznajemy. Rasizm nie jest wyłącznie atrybutem białych, u białych po prostu go widać.
Wielokulturowość nie wypaliła. Czy w takim razie lepsza byłaby monokulturowość? Jakiego państwa potrzebujemy, żeby z tej nieudanej wielokulturowej zupy znowu upichcić monokulturową? Co wolą Europejczycy: zapłacić cenę nieudanej wielokulturowości czy udanej monokulturowości? Bo to się da zrobić, ostatnio mieliśmy przykład z III Rzeszą.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska rozmawia
z Konstantym Gebertem

2012

Saintes-Maries de-la-Mer

we Francji.

Fotografował
Piotr Wójcik

Nasza Pani z Tratwy

Targ oblężony, w każdym zaułku gra muzyka, tłok na kempingach, obozowiska na ulicach, hałas, rżenie. Konie jedzą obrok. Tak raz do roku wygląda Saintes-Maries-de-la-Mer. Pielgrzymi przybywają na procesję, która z kościoła wyrusza nad morze. Dźwigają na ramionach ciemną drewnianą statuę. Nikt nie wie, kiedy przybysze pierwszy raz odwiedzili francuskie miasteczko,
ale niezmiennie pojawiają się w tych samych dniach - 24 i 25 maja. Czuwają nocą przy figurze, a nazajutrz wiodą ją na plażę. Piasek, woda i drewniana rzeźba wyzwalają ekstazę. Pielgrzymi wykrzykują
w uniesieniu „Sara! Święta Sara!”.

Był rok 42, kiedy na pokładzie łodzi z Palestyny do brzegów południowej Francji przybyli pierwsi chrześcijanie. Były wśród nich trzy Marie: Maria Magdalena, Maria Salome, Maria Jakubowa oraz Sara, egipska służąca. 14 wieków później na tych samych ziemiach pojawili się cygańscy wędrowcy. W Saintes-Maries-de-la-Mer stał już kamienny kościół w kształcie łodzi zwany Notre Dame de Ratis - Nasza Pani
z Tratwy. Miasteczko szczyciło się, że właśnie tutaj odkryto pozbawione głów szczątki czterech kobiet.

Przyjęto, że są to trzy Marie i Sara.
Dwie białe Marie - Jakubową i Salome - Kościół uznał za święte.
Chociaż czarna Sara świętą nie jest, to właśnie dla niej ten majowy szum.
Legenda głosi, że była królową Cyganów, którzy w pierwszym wieku po Chrystusie żyli na dzisiejszych ziemiach Francji. Przyjęła chrzest, a za nią jej lud. Dlatego Cyganie upodobali sobie Sarę i miasteczko z niezwykłym kościołem, gdzie leżą jej doczesne szczątki. Białe Marie udają się ku morzu osobno, Romowie niosą je na barkach.
Księża prowadzą obie procesje.

Piotr Wójcik
Studiował historię Kościoła. Przed 1989 kolporter wydawnictw podziemnych,
drukarz wydawnictwa Krąg, fotograf wychodzącego w drugim obiegu tygodnika Przegląd Wiadomości Agencyjnych.
Po 1989 fotoreporter Gazety Wyborczej, a od 2001 do 2011 szef jej działu fotograficznego.
Obecnie fotograf niezależny.
Od 20 lat dokumentuje życie europejskich Romów. Autor wystawy „Warszawa – Bukareszt 1996"
o Cyganach w Rumunii eksponowanej na 8 dworcach kolejowych w Polsce.
W 2000 roku opublikował album fotograficzny „Cyganie z obu stron Karpat".
Redaktor albumów, kurator wystaw oraz inicjator działań artystycznych dotyczących dokumentu fotograficznego.
W 2012 zrealizował projekt „Bytom Karb 2011" pokazany na wystawie „Pamięć Pracy" w Essen.
Wykładowca fotoreportażu w łódzkiej Szkole Filmowej.
Prezes fundacji Picture Doc.

Wieże z Bali
1968
Olej,
płyta pilśniowa
51 x 65 cm
Węgierski
Instytut
Kultury i Sztuki

János Balázs

Timea Junghaus

János Balázs, 1975 Fot. István Tóth

Jeszcze na początku tego stulecia twórczość Jánosa Balázsa rozpatrywano w kategoriach sztuki naiwnej. Jego prace były prezentowane na poświęconych tej sztuce wystawach i omawiane w publikacjach zajmujących się jej analizą. Właściwa interpretacja dzieł Balázsa zbiegła się ze wzrostem samoświadomości kręgów inteligencji romskiej na Węgrzech i początkiem zainteresowania własną tożsamością.

Autorzy prac o Balázsu wciąż powtarzają te same utarte frazy. Zamiast faktów i wizerunku człowieka z krwi i kości przedstawiają zjawisko mityczne i niespotykane - artystę naiwnego, prymitywistę bez wykształcenia, niepowtarzalnego i genialnego malarza samouka. Tymczasem z notatek i tekstów literackich Balázsa, a także z rozmów z jego przyjacielem oraz kolekcjonerami dzieł wyłania się nowe oblicze artysty.

János Balázs urodził się w 1905 roku w miasteczku Dolný Kubín na terenie dzisiejszej Słowacji (węg. Alsókubin, niem. Unterkubin). Ojciec i dziadek byli cenionymi liderami cygańskich zespołów, a rodzina żyła w dostatku. Los dziecka odmienił się jednak na gorsze wraz ze śmiercią ojca w 1910 roku. Zubożała matka przeniosła się z małym Jánosem do romskiej osady zwanej Pécskődomb w miejscowości Salgótarján (dzisiejsze Węgry). Udało mu się ukończyć zaledwie dwie klasy miejscowej szkoły podstawowej. Ale ponieważ był nienasyconym wręcz czytelnikiem o niezwykle dociekliwym umyśle, samodzielnie kontynuował edukację. Pracował od dziesiątego roku życia: zbierał w lasach grzyby i drewno na opał, wyrabiał gliniane cegły, sortował węgiel. Czytać jednak nie przestał. Jak pisał w swojej autobiografii: *Przeczytałem każdą wydrukowaną literkę, zdumiewał mnie każdy obrazek i rycina; wiedziony wyłącznie własnym instynktem zacząłem rysować ołówkiem na czystych kartkach te, które lubiłem najbardziej*. Rodzina matki nie pochwalała tej pasji i z niechęcią patrzyła na rosnącą kolekcję rysunków. Sprzeciw rodziny był tak silny, że nastoletni Balázs spalił wszystkie swoje rysunki i postanowił na przyszłość zaprzestać jakichkolwiek nowych prób malarskich. W czasie wojny zginęło wielu bliskich Jánosa Balázsa.

Balázs był doskonałym gawędziarzem i niewielu radosnych chwil w tym okresie dostarczało mu odwiedzanie dzieci z Pécskődomb. Po którymś z takich spotkań jeden z jego ulubionych uczniów niespodziewanie wręczył mu mały prezent: pudełko kolorowych kredek i paletę akwarel.

I tak w 1968 roku, w wieku 63 lat, János Balázs ponownie zaczął rysować i malować. Przez zaledwie osiem kolejnych lat życia jego dorobek artystyczny był jednym z najbardziej imponujących w historii węgierskiej sztuki. Obejmował ponad 800 obrazów, rysunków i rzeźb w drewnie.

Informacje o Jánosu Balázsu opracowane zostały we współpracy z Fundacją Kulturalną Romów Europejskich www.romacult.org

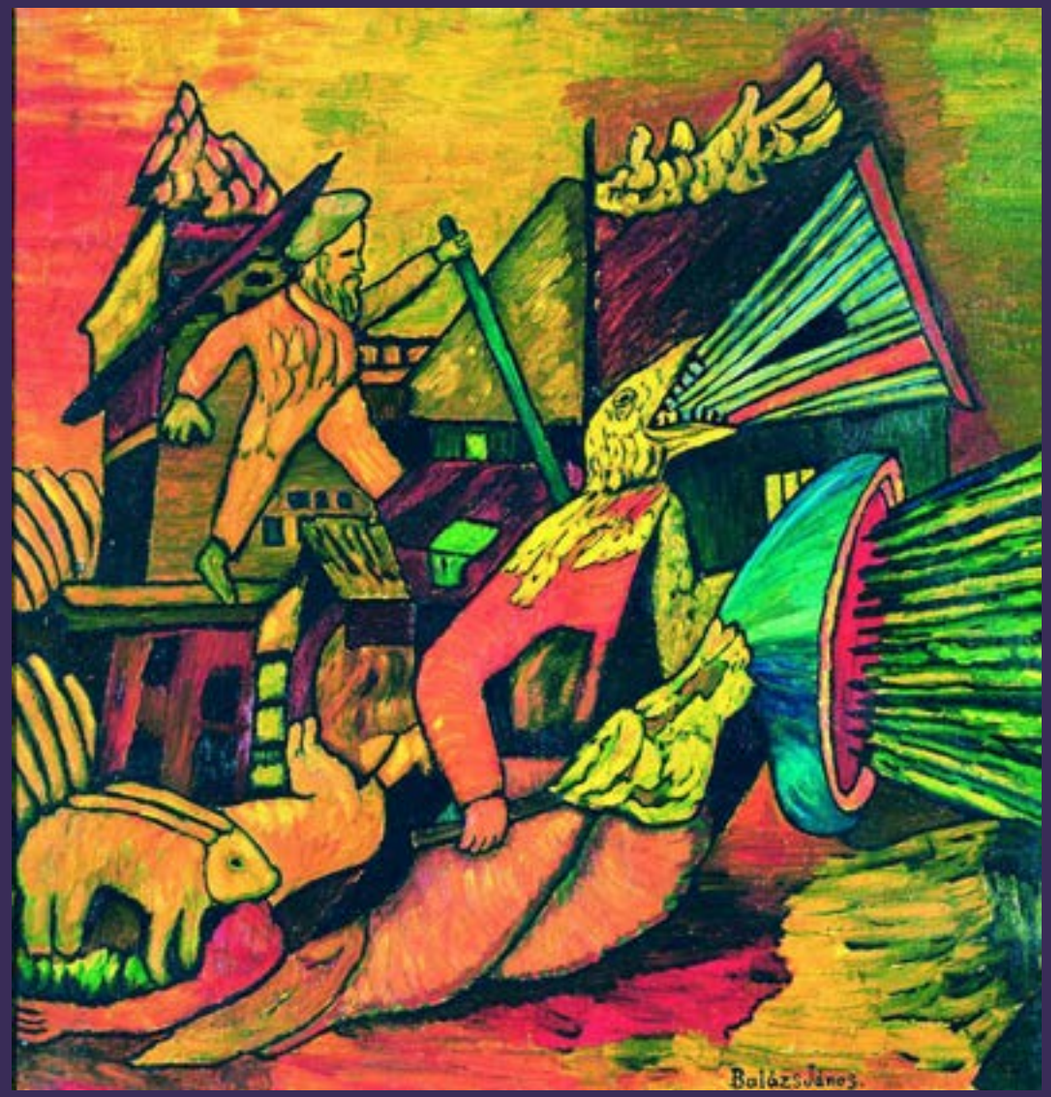

Wojna Przyszłości
1972
Olej, płótno
68 x 65 cm
Węgierski Instytut
Kultury i Sztuki

Tímea Junghaus
Magister historii sztuki, doktorantka w dziedzinie teorii kultury i sztuk audiowizualnych Uniwersytetu Eötvös Loránd na Węgrzech. Kuratorka wielu wystaw, m.in. Romskiego Pawilonu na Biennale w Wenecji w 2007 roku.
Autorka i współredaktorka publikacji na temat sztuk wizualnych Romów europejskich
„Poznaj swoich sąsiadów - współczesna sztuka romska w Europie" (Open Society Institute 2006).
Dyrektor wykonawcza Fundacji Kulturalnej Romów Europejskich.

Tamás Péli

Autoportret
Data nieznana
Olej, płótno
60x80 cm
Prywatne zbiory
Henrika Péli, syna malarza

Timea Junghaus

Już kilka lat po pojawieniu się Tamása na świecie w 1948 roku, jego rodzice – Romka i pół-Węgier, pół-Słowak - wiedzieli, że ich nad wiek dojrzałe dziecko będzie malarzem. Sam Péli tak wspominał swoje początki: *Nigdy nie tworzyłem „dziecięcych" rysunków. Jak miałem 2 czy 3 lata, ledwo umiałem chodzić, ale już rysowałem. Jako sześciolatek, rysowałem jakbym miał lat 15. Malowałem to, co widziałem. Nie sprawiało mi to żadnych trudności*. Rodzina od początku bardzo go wspierała. W szkole podstawowej też wszyscy podziwiali jego talent.

Nikt nie chciał wierzyć, że jest Romem.

W Liceum Sztuk Stosowanych było inaczej. Wielu uczniów, którzy pochodzili z rodzin artystycznych, drwiło z jego niewiedzy na temat malarstwa. Péli zaczął wagarować. Chodził po budapeszteńskich muzeach i bibliotekach. Chciał nadrobić zaległości. Dzięki interwencji matki wrócił jednak do szkoły i udało mu się ją skończyć. W tym okresie inspirowało go malarstwo renesansowe. Zaczął tworzyć ikony, które spodobały się pewnej Holenderce. Zaprosiła go do Amsterdamu. Tamás zakochał się w jej córce Margareth. Po wielu perturbacjach zaczął studiować w Holenderskiej Akademii Królewskiej (1967-1974). Nauczył się pracować z nowymi materiałami i zaczął używać innych technik: tworzył freski i witraże, stosował aluminium, drewno i metal. Próbował nawet rzeźby. Jego największe dzieło z tego okresu to „Stary i Nowy Testament" - witraż o powierzchni 72 metrów kwadratowych. Jako pierwszy w historii Rom z Węgier skończył studia malarskie.

Poślubił Margareth i zaczęli wspólnie podróżować. Turcja i Pakistan wywarły na nim ogromne wrażenie – z wiecznego optymisty stał się człowiekiem martwiącym się o losy świata. Po powrocie do Holandii zaangażował się w ruch studencki, gdzie poznał nową miłość. Dziewczyna wkrótce zginęła w wypadku.

Péli przeżył załamanie nerwowe. Przestał tworzyć. Rozwiódł się i w 1973 wrócił na stałe na Węgry.

Postanowił poświęcić się pokazywaniu romskiej kultury i tradycji poprzez sztukę. Zaczął uczyć młodych romskich malarzy. W 1983 roku, jedenaście lat przed śmiercią, stworzył „Narodziny" – kompozycję o powierzchni 42 metrów kwadratowych, dokumentującą romską historię i wędrówki przodków do krajów europejskich. Do dziś Péli uznawany jest za jednego z najważniejszych malarzy romskich.

Oblicze Boga
Data nieznana, Olej, płyta pilśniowa, 110x90 cm. Prywatne zbiory Sary Péli, córki malarza

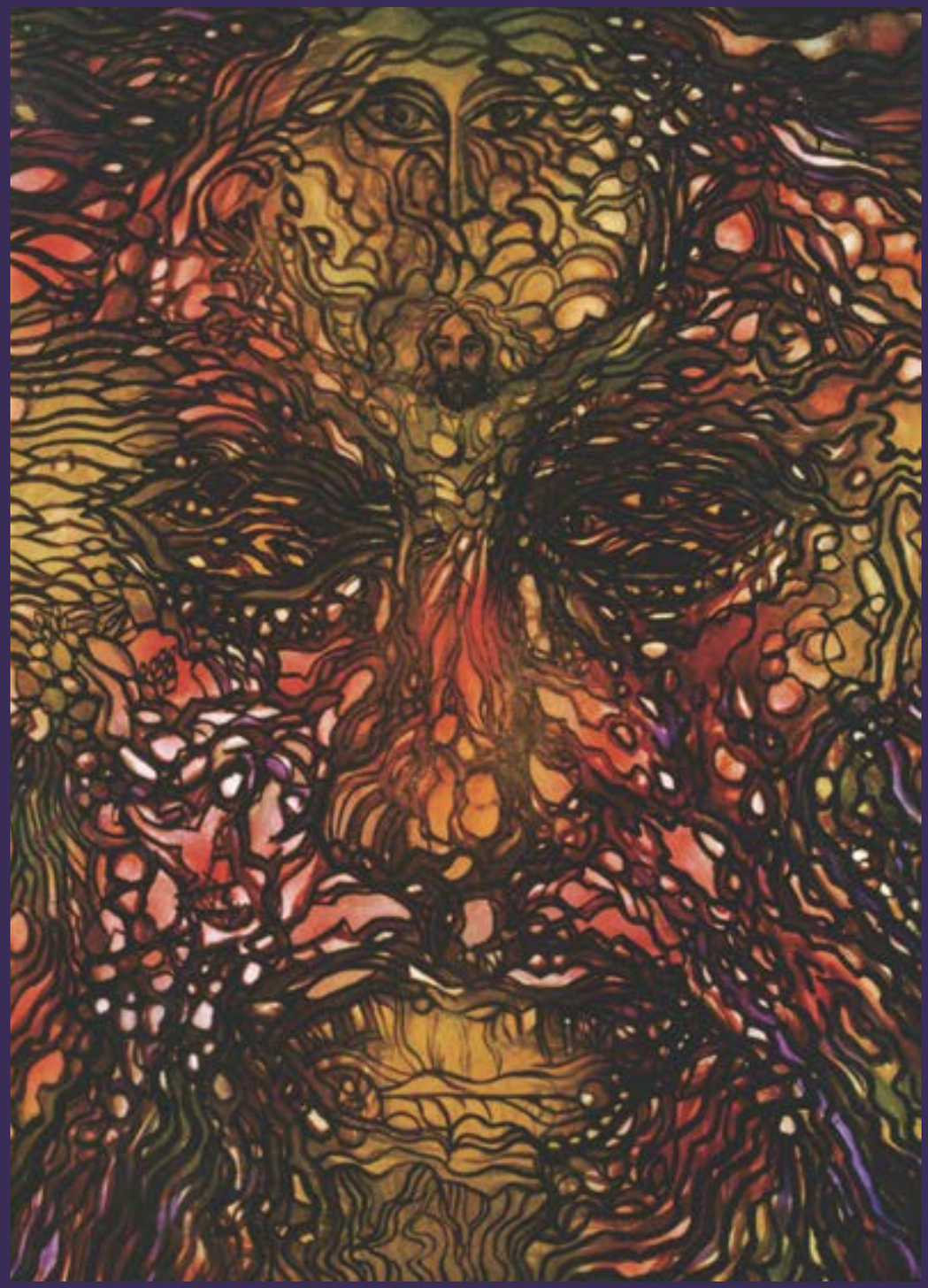

Saintes-Marie -de-La-Mer Ludzie, 2000
Akryl, płótno, 146x1114 cm
Prywatne zbiory

Gabi Jimenez

Timea Junghaus

– magister historii sztuki i doktorantka w dziedzinie teorii kultury i sztuk audiowizualnych na Uniwersytecie Eötvös Loránd na Węgrzech; kuratorka wielu wystaw, m.in. Romskiego Pawilonu na Biennale w Wenecji w 2007 roku; autorka i współredaktorka publikacji nt. sztuk wizualnych Romów europejskich „Poznaj swoich sąsiadów – współczesna sztuka romska w Europie" (Open Society Institute 2006); dyrektor wykonawczy Fundacji Kulturalnej Romów Europejskich.

Gabi Jimenez:„Wy na moich obrazach widzicie błoto, śmieci, przyczepy i Cyganów. Ja widzę szczęście".
Fot. Archiwum Prywatne Gabi Jimeneza

Gabi Jimenez to współczesny malarz romski o hiszpańskich i francuskich korzeniach. Urodził się w 1964 roku w Paryżu. Dorastał w wędrownej grupie hiszpańskich Romów Gitano, z którymi podróżował ponad trzy dekady. Jimenez jest też muzykiem, piosenkarzem, instrumentalistą, biznesmenem i urodzonym liderem społeczności.
Malarstwo Jimeneza od początku silnie wiązało się z innymi jego pasjami. Studiował sztuki stosowane i grafikę w szkole Rue Madame - Paris. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych tworzył prace reklamowe, ale wspierał też kampanie społeczne przybliżające życie Gitano. Grafiki i logotypy wykorzystywał m.in. w prowadzonych przez siebie akcjach antyrasistowskich i podczas festiwali muzycznych, które organizował.
Prawdziwy przełom w życiu i karierze Jimeneza to spotkanie bratniej duszy - jego przyszłej żony, a później narodziny dwóch córek. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych powrócił do wędrownego stylu życia. Jak twierdzi w autobiografii, w tym okresie jeszcze mocniej nawiązywał do swojego dziedzictwa i pochodzenia. Baśnie i tradycje romskie, trudne warunki życiowe większości Romów, traumatyczna historia tej społeczności zdominowały tematykę jego dzieł. Jak sam pisze: *Są rzeczy, które widzimy, zauważamy, pamiętamy - i są rzeczy, których nie chcemy widzieć. Romowie są przerażający. Kim są? Skąd pochodzą? Co robią? Staram się odzwierciedlać sceny z życia w obrazach - momenty radości, miejsca, które na chwilę pożyczyliśmy, bolesne wspomnienia, które wciąż prześladują.*
Jimenez eksperymentował. Badał symbolikę barw w obrazach, pracach cyfrowych, performance'ach i instalacjach. Wypracował unikalny styl używania kolorów, z których każdy miał znaczenie symboliczne i wyrażał różne przesłania.
W 2000 roku artysta się osiedlił i z wielką energią rozpoczął pracę dla organizacji Wędrowne Ludy z Francji i Hiszpanii. Jako pracownik rządowego organu ds. integracji we Francji pomagał osobom w trudnym położeniu. Wrócił także do nauczania, dawał lekcje flamenco na gitarze. Muzyka gitarowa i flamenco to, jak sam mówi, ważne części jego ars poetica*: Mógłbym nazwać wszystkie swoje wystawy »Duende«, czyli to, co we flamenco oznacza naszego ducha, co dla Romów charakterystyczne, autentyczne, co pomaga nam żyć we wspólnocie, zrozumieć, kim jesteśmy. Innymi słowy, to takie cygańskie voodoo. Kiedy wy na moich obrazach widzicie błoto, śmieci, przyczepy i Cyganów, ja widzę szczęście, moją rodzinę i to, kim jestem.*

Suszenie prania, 2006
Akryl, płótno
24x30 cm
Prywatne zbiory

Galeria Mary , 2010
Olej, płyta pilśniowa, 64x88 cm
Prywatne zbiory

Mara Oláh „Omara”

Timea Junghaus

W 2007 roku podczas otwarcia pierwszego Romskiego Pawilonu na Biennale Sztuki Współczesnej w Wenecji Omara spotkała milionera George'a Sorosa, jednego ze sponsorów. Kiedy wymieniali uścisk dłoni, wyjęła i podała mu swoje szklane oko: *Jestem panu taka wdzięczna za wsparcie. Chciałabym panu dać wszystko, co mam….*

Kariera Omary pokazuje, jak duża jest niechęć wobec Romów, ale też jak można ją przełamać i rekonstruować tożsamość romską. Historycy sztuki od początku uznawali prace tej artystki za malarstwo naiwne, prymitywne i amatorskie. Jednak coraz częściej są one obecne podczas ważnych międzynarodowych wydarzeń z kręgu sztuk wizualnych.

Mara Oláh „Omara” urodziła się w Monorze na Węgrzech w 1945 roku. Zaczęła malować po śmierci matki w wieku 43 lat. Z pierwszym obrazem „Moja operacja” wybrała się do Węgierskiej Galerii Narodowej i poprosiła o spotkanie z głównym kustoszem. Zapytała, czy obraz ma jakąkolwiek wartość artystyczną i czy powinna kontynuować malowanie. Kustosz stwierdził, że Mara ma talent i zachęcił ją do dalszej pracy. Odtąd tworzy nieprzerwanie.

Kiedy w grę wchodzi reprezentowanie interesów mniejszości romskiej, mówi poprzez happeningi, wygłasza oświadczenia polityczne w czasopismach, na stronach internetowych. Wszystko to składa się na jej artystyczną działalność, choć wielu ekspertów stara się tego nie zauważać i skupia się jedynie na interpretacji obrazów. A Omara stworzyła ich wiele.

W niebieskiej serii zapoczątkowanej w 1997 roku artystka przedstawia przejawy dyskryminacji, których doświadczyła w swoim życiu. Znajdziemy tam też najważniejsze wydarzenia i traumy z jej życia - jako kobiety i Romki – od utraty matki po cierpienia związane z nowotworem, na którego chorowała Omara.

W 2009 roku w Tatárszentgyörgy zabito sześciu Romów, zarejestrowano ponad dwadzieścia pięć ataków na domy romskie. Wśród ofiar znalazł się pięcioletni chłopiec - strzelono mu w plecy, a jedenastoletnia dziewczynka została ciężko pobita, gdy leżała w łóżku obok zastrzelonej matki. Omara wpadła w szał. Należała do osób, które natychmiast zażądały ogłoszenia żałoby narodowej. Na jednym z namalowanych wówczas obrazów można przeczytać „Po żałobie…”. Zdanie to nie ma końca. Omara często używa słów na obrazach, język odgrywa kluczową rolę w jej dziełach. Uwielbia prowokować. Ale tylko po to, by ośmieszać stereotypy o Romach i o kobietach. Jeśli jest zaproszona do udziału w jakimś przedsięwzięciu artystycznym, żąda białego mercedesa i z góry odmawia podróżowania samochodem innej marki. Omara przeciwstawia się malowanemu przez nie-Romów wizerunkowi „Cygana”. W swojej twórczości pokazuje Romów silnych, którzy - choć dyskryminowani - potrafią walczyć o siebie.

Kunsthalle 2004
Olej, płyta pilśniowa
83x112 cm
Prywatne zbiory

Tekst: Timea Junghaus,
pierwsza cygańska
historyk sztuki
www.omara.hu

Instalacja
Wiedeń
2011

Damian Le Bas

Timea Junghaus

„Wpatrując się uważnie w żarzący się ogień, w migoczącej grze pomiędzy blaskiem płomieni, cieniami i popiołem możemy dostrzec niekończące się historie. W obrazach przywoływanych przez Damiana jest ta sama głębia narracji, jednak opowiadane przez niego historie nie są jedynie wytworami naszej wyobraźni, lecz ścieżkami prowadzącymi przez labirynt przenikających się rzeczywistości, prawdziwych przygód, które nie znikają jak gasnący ogień, lecz na zawsze zatrzymują burzliwe interakcje ludzi, idei i kultury" - tak sztukę Damiana Le Basa opisuje profesor Thomas Acton we wstępie do wystawy *Second Site*, prezentowanej w Londynie w 2005 roku. Była ona niezwykle istotnym wydarzeniem, ponieważ po raz pierwszy wprowadzała romskich artystów - pozostających dotychczas na marginesie głównego nurtu sztuki współczesnej - do jej kanonu.

Le Bas urodził się w 1963 roku w południowym Yorkshire w rodzinie o mieszanej tożsamości etnicznej: matka pochodziła z irlandzkich Travellersów, a ojciec wywodził się z osiadłych handlarzy koni. Pierwsze kontakty Damiana ze sztuką skupiały się na muzyce alternatywnej; dopiero później pokazał zdolności w malarstwie oraz innych technikach plastycznych, jak szkice, kolaż czy instalacje. Rysował od dziecka. W szkole radził sobie źle i został wyrzucony.

Pracował dorywczo na budowie czy w fabryce czajników, ale wciąż był bezrobotny. Pracownica biura pośrednictwa pracy poradziła mu, żeby zdawał do West Sussex Art College. Tak zrobił, później skończył Royal College of Art w Londynie. Twierdzi, że malowanie to jedyna stabilna rzecz w jego życiu. Ojciec Le Basa popełnił samobójstwo, matka jest częściowo sparaliżowana, a ciężarna siostra i bratanek zmarli.

Sztuka Le Basa dekonstruuje wiele stereotypów na temat Romów. Dryfując luźno pomiędzy różnymi rozwiązaniami artystycznymi, Le Bas nie zamyka się jedynie w świecie olejnych obrazów. Potrafi wyrażać się również poprzez szkice ołówkiem i tuszem, a także instalacje i montaże. W ich tworzeniu często wspiera go żona, również artystka, Delaine Le Bas. Używanie niekonwencjonalnych materiałów - prywatnych zdjęć, okładek kolorowych magazynów czy wycinków prasowych - to wyróżnik obojga artystów.

W pracach często używa wątków autobiograficznych. Ostatnio zafascynował go temat klaustrofobii wędrowców we współczesnej Europie. Jego dzieła wystawiano w Wielkiej Brytanii, USA, Japonii, Szwecji i Irlandii, Czechach, prezentowano je także w Romskim Pawilonie na Weneckim Biennale w 2007 roku.

Roma Europe, 2007
Technika mieszana na wydrukowanej mapie 76,5 x 67,3 cm

Zaprzysiężone dziewice

Nikt SIĘ nie rodzi mężczyzną. Mężczyzną SIĘ staje

Elżbieta Wiącek

W filmie dokumentalnym „Bóg jest z nami, mężczyznami" (2005) w reżyserii Jana Sosińskiego ekipa filmowa jedzie do północno-wschodniej Albanii, gdzie w rejonie Gór Dynarskich odwiedza rodzinę hołdującą starym zwyczajom. Zgodnie z nimi w domu rządzi mężczyzna, a kobieta powinna z góry wiedzieć, czego chce mąż, zanim on wypowie słowo. Tak mówi przed kamerą Islam Gosturani – najstarszy z rodu i głowa rodziny. W osobnym pokoju, tylko dla mężczyzn, bracia rozmawiają, palą tytoń, piją. Jednym z nich jest… siostra imieniem Bedri. Męskim członkiem rodziny została z własnego wyboru. Nosi męski strój i cieszy się poważaniem w całej okolicy. Naśladuje mężczyznę tak skutecznie, że jeden z polskich internautów po obejrzeniu dokumentu napisał: „Przecież to jest chłop, taka sama moczymorda, jak reszta tych pijaków".

Takie zachowanie nie jest w Albanii ekscentryczną fanaberią. W innych krajach bałkańskich: Bośni, Serbii i Czarnogórze, także można spotkać kobiety, które ubierają się i zachowują jak mężczyźni. W językach południowosłowiańskich mówi się o nich: *tobelia*, *ostajnica* – „ta, która pozostaje" oraz *muskobanja* – „kobieta jak mężczyzna". Albańczycy nazywają je *burrnesha* – „takie jak mężczyzna" oraz *virgjineshat e buteme* – „zaprzysiężone dziewice". Najwcześniejsze źródła o *burrnesha* pochodzą z XIX wieku. Fenomen ten, spotykany zarówno w rodzinach chrześcijańskich, jak i muzułmańskich, opisywali sporadycznie europejscy podróżnicy, m.in. pisarz Bernard Newman. W czasie podróży po Albanii towarzyszył mu przewodnik, którego prawdziwą tożsamość poznał dopiero pod koniec podróży.

Tako rzecze Kanun

Jak to możliwe, że w tradycyjnej kulturze, gdzie role obu płci zostały zdefiniowane tak jednoznacznie i hierarchicznie, zaistniała opcja pozwalająca na oficjalną zamianę tych ról?

Życie społeczne w północnej Albanii i Kosowie od średniowiecza regulował przekazywany w formie ustnej zbiór zwyczajowych praw, zwany Kanun. Kanun to mieszanina mądrości ludów zamieszkujących górzyste rejony okolic Grecji i Macedonii, elementów muzułmańskiego szariatu oraz obyczajów panujących w północnym Kaukazie. Kanun Lekë Dukagjini spisany został dopiero w połowie XX wieku przez pochodzącego z Kosowa franciszkanina. Dwanaście ksiąg zawiera prawie 1300 artykułów, które regulują wszystkie aspekty życia człowieka.

SPOŁECZEŃSTWO

Wyraźnie określają prawa i obowiązki poszczególnych osób, a także ustalają ich status w społeczności.
Chcąc zrozumieć fenomen kobiet, które w określonej sytuacji mogą uzyskać przywileje przysługujące mężczyznom, trzeba wiedzieć, jak Kanun definiuje rodzinę. Wszelkie dobra dziedziczone są przez mężczyzn (patrylinearność), a w wyniku małżeństwa kobieta przeprowadza się do gospodarstwa rodziny męża (patrylokalność). Tradycyjna rodzina albańska jest typową bałkańską rodziną rozszerzoną – zadrugą. Cechuje się ścisłym podziałem obowiązków i przywilejów poszczególnych członków rodziny, a także wysokim prestiżem mężczyzn oraz osób starszych, niezależnie od płci. Struktura rodziny jest silnie patriarchalna – jej głową jest najstarszy lub najbardziej zaradny mężczyzna. Ma on prawo do zaszczytnego miejsca w domu, posiadania własnej broni, konia, łóżka i… kawy. Zarządza majątkiem, decyduje o sprzedaży i kupnie ziemi. Jego obowiązkiem jest dbanie o interesy wszystkich członków rodziny, ale także wymierzanie kar, pilnowanie zwierząt i ziemi oraz rozstrzyganie sporów. Najważniejszą kobietą w rodzinie jest żona gospodarza lub inna starsza kobieta. Jej zadaniem jest rozdzielanie dóbr pomiędzy członków rodziny (z wyjątkiem wina i rakii, których zasobami dysponuje gospodarz) oraz zarządzanie pracą pozostałych kobiet w domu. Niezależnie od tych przywilejów status kobiety jest znacznie niższy niż mężczyzny. Zgodnie z prawem zwyczajowym kobieta nie może wykonywać męskich zawodów, dziedziczyć, palić tytoniu ani… nosić zegarka. W przypadku zdrady mąż, według Kanunu, może zabić żonę i nie spotka go za to krwawa zemsta ze strony rodziny zamordowanej. Gospodyni nie wolno bez pozwolenia gospodarza nic pożyczyć, kupić ani sprzedać. Zakazy te wynikają z przekonania, że dom i rodzina są domeną kobiety, natomiast sfera publiczna należy do mężczyzn. Tylko oni mogą uczestniczyć w wiejskich zgromadzeniach.

I społeczność stwarza mężczyznę
Zgodnie z prawami Kanunu kobieta znajdowała się na najniższym szczeblu społecznym. Dysproporcje między płciami w tej społeczności widać wyraźnie w zasadach krwawej zemsty, bowiem śmierć kobiety nie wymaga odwetu. Nie wolno także mścić się na kobiecie, gdyż ma ona tak niską pozycję społeczną, że jej zabicie nie będzie żadną rekompensatą. Zgodnie z Kanunem życie kobiety jest warte połowę życia mężczyzny, bez względu na stan cywilny. Krwawej zemsty może dokonać tylko mężczyzna. Ale jeśli istniała taka potrzeba, a nie było mężczyzny, jedna z córek zostawała *burrneshe* i odtąd to ona dbała o honor rodu. Innym powodem mogła być chęć zapewnienia klanowi przywódcy i spadkobiercy. Decyzja taka umożliwiała też kobiecie uniknięcie niechcianego małżeństwa bez urażenia honoru rodziny potencjalnego męża. Małżeństwa aranżowano bowiem często już przy narodzinach dziecka, a zerwanie ustalonej przez rodziny umowy traktowano jako niewybaczalną zniewagę i powód do krwawej zemsty. W tak zorganizowanej społeczności, która praktycznie nie pozostawiała możliwości wyboru, kobieta miała tylko dwa wyjścia – albo podporządkować się mężczyźnie, albo… nim zostać.
Chociaż symboliczna zmiana płci była – i w niektórych okolicach nadal pozostaje – jedynym sposobem na wyrwanie się ze szponów patriarchatu, należy podkreślić, że w większości przypadków nie jest to decyzja indywidualna. To nie fanaberia jednostki, która nie akceptuje swej biologicznej płciowości. Decyzja ta jest ściśle związana z nadrzędnością interesu rodziny nad interesem jednostki. Często podejmowana jest w sytuacji braku syna-spadkobiercy, co grozi przejęciem ziemi oraz zabudowań rodowych w posiadanie rodziny męża córki bądź krewnego.

Aby temu zapobiec, niektóre dziewczynki już od urodzenia wychowywane były na chłopców, aby w przyszłości mogły legalnie odziedziczyć rodzinny majątek.
Czasem – zwłaszcza współcześnie – zdarza się jednak, że kobieta dokonuje osobistej, świadomej decyzji o byciu mężczyzną. Zmiana taka daje bez wątpienia większą wolność – umożliwia niektórym Albankom wyprowadzenie się z domu i rozpoczęcie samodzielnego życia bez męskiej kurateli oraz wykonywanie męskich zawodów. Za decyzją tą stoi niekiedy potrzeba ochrony własnej integralności cielesnej – głównie przez seksualnym napastowaniem. W męskiej odzieży kobieta zwodzi bowiem wyglądem potencjalnych prześladowców.
Zgodnie z określeniem „zaprzysiężone dziewice" decyzji o zostaniu mężczyzną towarzyszy uroczysta przysięga – *besa*, w której kobieta zobowiązuje się do zachowania dożywotniego celibatu. Składane publicznie przyrzeczenie jest niezbędnym warunkiem płciowej transformacji, lecz nie jest obwarowane wymogiem braku inicjacji seksualnej. Nieścisłość ta dawała możliwość podjęcia takiej decyzji nawet posiadającym dzieci wdowom, które nie chciały być ponownie poślubione i pragnęły zostać głową rodziny.
W momencie składania przysięgi *burrnesha* ścina włosy i zmienia swoje żeńskie imię na męskie (w dokumentach tożsamości ta zmiana nie jest jednak uwzględniana). W niektórych przypadkach może też zachować dotychczasowe imię. Znaczna część imion albańskich nie jest bowiem przypisana do jednej płci. Otoczenie zwraca się do nich, z reguły używając zaimków męskich. Wchodząc w rolę mężczyzny, *burrneshe* zyskują wysoką pozycję w rodzinie i znacznie lepszy status – m.in. prawo głosu na zebraniach, kupowania ziemi i wszystkie inne męskie przywileje. Przestają wykonywać kobiece prace domowe, a zostają zobligowane do prac takich jak: orka, nawożenie i nawadnianie pól, rąbanie drewna. Uczą się posługiwać bronią, gdyż jednym z ich obowiązków jest odtąd obrona zwierząt gospodarskich przed drapieżnikami i obowiązek udziału w ewentualnej zemście krwi. Broń ta może też służyć jej własnemu bezpieczeństwu, gdyż od złożenia przysięgi, w przeciwieństwie do innych kobiet, którym Kanun gwarantuje „immunitet", *burrnesha* może stać się ofiarą zemsty rodowej. Spoczywa na niej też zrytualizowany obowiązek przyjmowania gości. Rytuał ten obejmuje odwieszenie broni na kołku, poczęstunek gościa chlebem i solą oraz umycie mu nóg.
Wiele „zaprzysiężonych dziewic" dostępuje zaszczytu zostania głową klanu. Wówczas jedyną ich powinnością staje się utrzymanie w gotowości noszonej broni oraz dbałość o odpowiednią ilość amunicji. Jako głowa rodu są wówczas obsługiwane nie tylko przez kobiety, ale przez wszystkich pozostałych domowników. Decydują w sprawach ich małżeństwa, edukacji i zatrudnienia. Zajmują honorowe miejsce podczas uroczystości rodzinnych, a nawet występują w roli ojca pana młodego lub panny młodej.

Z czego składa się mężczyzna?
W 1949 roku Simone de Beauvoir w swojej książce „Druga płeć", uznawanej dziś za jedno z czołowych dzieł myśli feministycznej, napisała: „Nie rodzimy się kobietami – stajemy się nimi". Parafraza tego stwierdzenia: „Nie rodzimy się mężczyznami – stajemy się nimi" idealnie określa bałkańską instytucję „dziewic Kanunu". Dla Albańczyków przywiązanych do tradycji sposób ubioru jest prostym wykładnikiem płci danej osoby. Kiedy kobieta ubiera się jak mężczyzna, za takiego jest uważana. Z czego zatem składa się mężczyzna? Z dopasowanych białych filcowych spodni (*potur*), kurtki wykończonej czarną wstążką i zabudowanych skórzanych sandałów. Młodsze *virgjineshat* noszą zwykłe męskie spodnie i koszule oraz zwykłe męskie buty. W miastach zdarza się, że wkładają garnitury. Dodatkowe męskie atrybuty to zegarek i papieros za uchem. Odzieżowej metamorfozie towarzyszy radykalna zmiana w zachowaniu – trzeba głośno mówić oraz pić i palić jak wszyscy mężczyźni. Z biegiem czasu *virgjineshat* trudno odróżnić od biologicznych mężczyzn, chociaż przemianie tej nigdy nie towarzyszy chirurgiczna zmiana płci.
Fenomen „zaprzysiężonych dziewic" to modelowy przykład tego, że płeć może być nie tylko

dana, ale również konstruowana ze znaków męskości. Prawidłowość tę potwierdza fakt, że jeśli głowa rodu w albańskiej rodzinie nie dba o jej byt i bezpieczeństwo, mężczyzna może zostać „zwolniony" ze swojej funkcji, którą przejmuje najstarszy syn bądź „dziewica Kanunu".

Spektakl płci

Chociaż obecnie w polskich mediach problematykę gender przedstawia się jako „unijną" fanaberię, która zepsuje polskie dzieci, w istocie świadectwa debaty o naturze płci trwają już od czasów Platona. Filozof uważał, że „podobnie rozsiane są natury u obu płci", a kobiety można z powodzeniem uczyć posługiwania się bronią i wykorzystać ich militarne umiejętności w razie konfliktu. Pogląd taki kwestionuje istnienie stałych cech i predyspozycji ściśle związanych z płcią. Zdaniem amerykańskiej filozofki Judith Butler płeć tworzymy przez odgrywanie narzuconej roli, formę codziennego performance'u. Butler podkreśla nie tylko wymiar teatralny płci, ale również jej stwarzanie przez język, powołując się na teorię aktów performatywnych. Są to wypowiedzi, które stwarzają realne skutki przez sam fakt bycia wypowiedzianym, np. nadanie imienia. Władzę tego rodzaju wypowiedzi widać także w akcie publicznego składania przez *virgjineshat* przysięgi. Akt mowy ma w tej sytuacji moc czynu, którego konsekwencją jest zmiana statusu wypowiadającej go osoby. Spektakl płci nie jest pojedynczym aktem, lecz serią powtórzeń, na które składają się cytaty odnoszące się do norm kobiecości i męskości. W powieści albańskiej pisarki Elviry Dones „Zaprzysiężona dziewica" Hana, która postanowiła zostać *virgjineshë*, naśladuje śmiech mężczyzn, moduluje głos na grubszy, siada po męsku, krzyżując nogi, czyści dubeltówkę i podejmuje pracę jako kierowca ciężarówki.

Na Zachodzie występy *drag queen* i *drag kings* zwykle przybierają formę pastiszu lub parodii oraz postrzegane są z przymrużeniem oka. Inne przebieranki tego rodzaju także wiążą się zwykle z konwencją komediową, zabawą, karnawałowym światem „na opak" i chwilowym unieważnieniem społecznych reguł. Tymczasem w tradycji bałkańskiej zamiana płciowej roli odbywa się za przyzwoleniem zwyczajowego prawa. Instytucja *virgjineshë* nie podważa funkcjonowania patriarchalnego systemu, lecz go utwierdza. Przemiana kobiety w mężczyznę nigdy nie jest traktowana jako niezobowiązująca przebieranka. Jest zazwyczaj nieodwracalną życiową decyzją, traktowaną przez społeczność śmiertelnie serio – również w sensie dosłownym. W przeszłości gdyby któraś z „dziewic Kanunu" bez zgody społeczności zechciała na nowo stać się kobietą, czekałaby ją śmierć. Współcześnie za takie postępowanie czekałoby ją „jedynie" odrzucenie społeczne.

Podczas gdy w Tiranie kobiety się emancypują, w północnej Albanii styl życia nie uległ większym zmianom. Trudno dostępne wioski w górach oparły się wpływom komunistycznej indoktrynacji za rządów Envera Hodży. To, że bezpartyjnym obywatelom zakazano wówczas korzystania z samochodów, doprowadziło do powstania ogromnej przepaści między stolicą państwa a odległymi od niej regionami kraju. Tradycja „dziewic Kanunu" zachowała się w nich do dziś. Ponieważ trudno je odróżnić od „prawdziwych mężczyzn", dokładne oszacowanie ich aktualnej liczby jest praktycznie niemożliwe. Antropolog Antonia Young, która prowadziła badania w latach dziewięćdziesiątych XX wieku na terenie Albanii i Kosowa, ocenia populację *virgjineshë* na ponad 100 osób.

Elżbieta Wiącek

Elżbieta Wiącek - doktor z zakresu nauk o sztukach pięknych; pracuje w Instytucie Studiów Międzykulturowych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół semiologii komunikatów audiowizualnych, antropologii filmu i estetyki postmodernistycznej. Opublikowała między innymi książkę Filmowe podróże Abbasa Kiarostamiego (Kraków 2004).

Co wolno MUZUŁMANCE?

Europejczycy między rewolucją francuską a szariatem

Piotr Turek

Piotr Turek - prokurator, w latach 2006-2011 pracował w europejskim Trybunale Praw człowieka i Radzie Europy w Strasburgu.

W 2007 roku sąd we Frankfurcie nad Menem odmówił udzielenia natychmiastowego rozwodu muzułmance bitej przez męża, a decyzję swoją uzasadnił tym, że Koran nie potępia tego rodzaju traktowania. Sędzia stwierdziła m.in., że małżonkowie pobrali się zgodnie z prawem islamskim oraz że w małżeństwach arabskich nie jest rzadkością, że mężczyzna wykonuje swoje prawo karania żony. Decyzja wywołała głosy oburzenia w Niemczech i za granicą, a sędzię wyłączono od prowadzenia sprawy. Stało się tak m.in. dlatego, że nastąpiło pogwałcenie zasady równości wobec prawa. Muzułmance odmówiono skorzystania z powszechnie obowiązującego prawa z tego właśnie powodu, że była muzułmanką.

Gdy prawo Republiki nie zgadza się z obyczajem

Chociaż postulat równości wobec prawa i jednakowego prawa dla wszystkich jest kuszący, to już Arystoteles zaobserwował, że prawo jest głęboko niesprawiedliwe z tego właśnie powodu, że jest powszechne. Sprawiedliwość doskonała winna oddać każdemu, co mu się należy i nie ograniczać się jedynie do formułowania jednego reżimu dla wszystkich. I rzeczywiście, praktyka dowodzi, że sędziowie starają się, z gorszym lub lepszym skutkiem, uwzględnić przy stosowaniu prawa specyfikę religijno-kulturową podsądnych.

W 2008 roku sąd w Lille we Francji unieważnił małżeństwo pary pochodzenia marokańskiego, gdy mąż odkrył, że jego żona - wbrew wcześniejszym zapewnieniom - nie jest dziewicą. Ten stan faktyczny sąd zakwalifikował jako „błąd co do istotnych cech małżonka", co stanowi jedną z podstaw unieważnienia małżeństwa w świetle francuskiego kodeksu cywilnego. Decyzja sądu spotkała się z niejednoznacznym przyjęciem. Ostatecznie wobec zmasowanej krytyki, zarzucającej m.in. naruszenie zasady świeckości państwa i podporządkowanie praw Republiki prawu zwyczajowemu, prokuratura na polecenie ministra sprawiedliwości wniosła apelację, a sąd odwoławczy uchylił orzeczenie I instancji. W świetle prawa małżeństwo trwa więc nadal.

Nie przypadkiem powyższe przykłady dotyczą muzułmanów. Wystarczy przypomnieć, że chodzi o olbrzymią liczebnie mniejszość zamieszkującą kontynent europejski, wyznającą religię, która zawiera system surowych nakazów i zakazów regulujących życie jednostek i życie społeczne, a więc w istocie odrębny system prawny, wywodzący się od plemion koczowniczych zaludniających pustynie Półwyspu Arabskiego. Skoro muzułmanie, żyjąc w Europie, chcą pozostać wierni swojej nieeuropejskiej religii i swojemu nieeuropejskiemu prawu, to konflikty z prawem krajów europejskich, opar-

tym na tradycji prawa rzymskiego, racjonalizmu, chrześcijaństwa i praw człowieka, wydają się nieuniknione.

Gdy mąż oddala żonę

Przykładem jest kwestia uznania skutków oddalenia żony przez męża, co w prawie islamskim stanowi sposób rozwiązania małżeństwa w formie jednostronnego oświadczenia. Sądy francuskie długo uznawały oddalenie za skuteczne, jeżeli zostało dokonane w kraju, gdzie prawo przewiduje taką formę „rozwodu". Podejście to spotkało się z krytyką, albowiem podkreślano, że nawet w krajach muzułmańskich, np. w Tunezji, coraz częściej uznaje się oddalenie za instytucję prawa religijnego (szariatu), sprzeczną z międzynarodowymi standardami ochrony praw człowieka. Dlatego w ostatnim czasie orzecznictwo francuskich sądów uległo zasadniczej ewolucji i odmawia uznania skutków oddalenia żony, powołując się m.in. na ich sprzeczność z zasadą równości kobiet i mężczyzn.

Jak więc widać, wysiłki sądów zmierzające do uwzględnienia specyfiki kulturowej i religijnej mniejszości, z reguły zgodnie z wolą przedstawicieli tych mniejszości, spotykają się ze sprzeciwem opinii publicznej, która nie zgadza się na odstępstwa od norm, na których ufundowane są społeczeństwa zachodnie.

Ale przecież najbardziej nawet nowoczesne państwa decydują się na ustępstwa wobec określonych grup mniejszościowych. I tak np. w Stanach Zjednoczonych plemiona indiańskie dysponują na obszarach rezerwatów, niejednokrotnie bardzo dużych powierzchniowo, suwerenną władzą, co daje im możliwość regulowania postępowania osób w sposób odmienny niż w prawie stanowym czy federalnym. W Izraelu ortodoksyjni Żydzi zwolnieni są - co wydaje się na pierwszy rzut oka paradoksalne w kraju stale zagrożonym wojną - od służby wojskowej ze względów religijnych. Także w krajach europejskich ukształtował się konsensus przyznający prawo do zastępczej służby wojskowej osobom odmawiającym noszenia broni z powodów religijnych, moralnych lub etycznych; stanowi to wyjście naprzód oczekiwaniom takich grup jak np. świadkowie Jehowy. Czasami jednak ustępstwa na rzecz mniejszości przyjmują postać nie przepisów prawa, ale tolerowania określonych faktów. W Hiszpanii na przykład przyznawano świadczenia rodzinne Romom, mimo że chodziło o osoby formalnie niebędące małżonkami, albowiem poślubione według obrządku romskiego, którego państwo nie uznaje.

Gdy Sami chce hodować renifery

Często jednak grupy mniejszościowe nie znajdują poszanowania dla swoich odrębności u władz państwowych i poszukują ochrony na poziomie międzynarodowym. Najdogodniejszą podstawą prawną umożliwiającą przyznanie takiej ochrony wydaje się art. 27 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, stwierdzający: „W Państwach, w których istnieją mniejszości etniczne, religijne lub językowe, osoby należące do tych mniejszości nie mogą być pozbawione prawa do własnego życia kulturalnego, wyznawania i praktykowania własnej religii oraz posługiwania się własnym językiem wraz z innymi członkami danej grupy".

Komitet Praw Człowieka ONZ wydał szereg decyzji, w których uznał, że określone zwyczajowe rodzaje aktywności mniejszości etnicznych chronione są przez art. 27 Paktu. Tak stało się choćby w sprawie Ivan Kitok przeciwko Szwecji, gdy Komitet uznał, że hodowanie reniferów stanowi istotny element kultury skarżącego jako przedstawiciela grupy etnicznej Sami (Lapończyków). Takie stwierdzenie pozbawione było jednak praktycznych korzyści dla skarżącego, ponieważ Komitet orzekł jednocześnie, że prawo szwedzkie ograniczające wykonywanie takiej aktywności nie było niezgodne z art. 27. Z kolei w sprawie Lubicon Lake Band przeciwko Kanadzie Komitet stwierdził, że sprzedanie przez władze firmie wydobywającej surowce terenów, na których plemię skarżącego od niepamiętnych czasów żyło, polowało i łowiło ryby, stanowiło zagrożenie dla jego sposobu życia i kultury i naruszało art. 27.

Chociaż Europejska Konwencja Praw Człowieka nie zawiera uregulowania analogicznego do art. 27 Paktu, to jednak również i Europejski Trybunał Praw Człowieka badał podobne skargi, na przykład na gruncie prawa do ochrony życia prywatnego czy wolności religijnej. Trybunał stwierdził, że w krajach europejskich wyłania się międzynarodowy kompromis na rzecz uznania szczególnych potrzeb mniejszości i obowiązku ochrony ich tożsamości i sposobu życia, co wynika m.in. z potrzeby ochrony różnorodności kulturowej, która jest pożyteczna dla społeczeństwa jako całości.

W praktyce jednak Trybunał nie podważył w istotny sposób prawa krajów członkowskich na korzyść prawa zwyczajowego mniejszości etnicznych. Na przykład w sprawie Cha'are Shalom Ve Tsedek przeciwko Francji stwierdził, że odmowa udzielenia zezwolenia na szczególną formę uboju rytualnego nie stanowi ingerencji w prawo do wolności religijnej skarżących, grupy ultraortodoksyjnych Żydów, nawet jeżeli spożywanie mięsa pochodzącego z takiego uboju stanowi istotny składnik ich tożsamości religijnej.

Gdy odrębność stanowi pułapkę

Kończąc rozważania nad prawem mniejszości do kultywowania swoich norm zwyczajowych, należy jednak zwrócić uwagę, że teorie wielokulturowości, głoszące potrzebę uznania we współczesnym społeczeństwie prawa do odrębności, zawierają w sobie również pułapkę. Troska bowiem o zachowanie pierwotnej tożsamości kulturowej prowadzić może do uwięzienia jednostki w jej z góry narzuconym statusie prawnym, wywodzącym się często z bardzo odległych epok i pod wieloma względami archaicznym. Rodzi się więc ryzyko, że tak rozumiana wielokulturowość doprowadzić może do utworzenia swego rodzaju prawnych gett, w których wolność człowieka traci znaczenie na rzecz nakazów i zakazów narzuconych przez określoną wspólnotę.

Piotr Turek

Przy pracy nad tekstem wykorzystałem m.in. artykuły M.-C. Najm, Le sort des répudiations musulmanes dans l'ordre juridique français. Droit et idéologie(s) ; oraz A. P. Valerga, Le droit comme lieu de rencontre entre le communautarisme et le libéralisme (Droit et Cultures, nr 59/2010 i 62/2011)

Angelika Kuźniak od 2000 r. współpracuje z "Gazetą Wyborczą". Autorka opowieści reporterskiej "Marlene" (2009), książki „Papusza” (2013) i niedawno wydanej „Stryjeńska. Diabli nadali” (2015). Współautorka dwóch reportaży zamieszczonych w nominowanym do Nagrody Literackiej NIKE 2008 tomie Włodzimierza Nowaka "Obwód głowy". Trzykrotnie uhonorowana nagrodą Grand Press, kilkakrotnie nominowana do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej. Za wywiad z Hertą Müller otrzymała w 2010 r. Nagrodę im. Barbary Łopieńskiej.

Adam Kozak
Rocznik 1974. Z wykształcenia filozof, z zawodu fotograf. Laureat konkursów Grand Press Photo oraz BZ WBK Press Photo, od 17 lat pracuje w „ Gazecie Wyborczej”. Publikował niemal we wszystkich polskich tygodnikach, a za granicą w „Liberation”, „Newsweek”, „Die Welt”, „Stern”. Współpracuje z renomowaną francuską Agence VU i Reuters. Pasjonuje go portret. Fotografował znanych i nieznanych - aktorkę Annę Polony, piosenkarkę Erykah Badu, prezydenta Lecha Kaczyńskiego, warszawskich punkowców, ofiary konfliktu w Libanie.
Na swojej stronie internetowej napisał: „Nie wiem, co to jest czas, nie wiem, co znaczy 1/125 sekundy.
Wiem tylko, że w tym czasie można zrobić zdjęcie”.

ZAGŁADA ROMÓW

MOJA MODLITWA w Auschwitz

Tym, którzy przeżyli Zagładę, niełatwo wejść za druty obozu. Jednak co roku 2 sierpnia gromadzą się w Zigeunerlager. Pamięć jest ich przekleństwem - i zobowiązaniem

Tekst Angelina Kuźniak
Fotografie Adam Kozak

Hermann Höllenreiner

Kiedy słyszę dzieci, wpadam w panikę

Boję się nocy, bo nocą wraca to, o czym nie chcę pamiętać. Widzę pięciu wygłodzonych więźniów. Są nadzy. Biegają w kółko, ręce mają założone za głowę.
Widzę, jak psy wgryzają się w ich narządy płciowe. Trzy strażniczki patrzą i śmieją się. Jeden z mężczyzn chwyta zwierzę i próbuje oderwać od swojego ciała. Ale szczęki psa są za mocne. Strażniczka bierze pistolet i strzela więźniowi w głowę.
To jest moje wspomnienie z dzieciństwa. Z obozu. Z Auschwitz-Birkenau.
Urodziłem się w 1933 roku. Mieszkałem z rodzicami, dziadkami i pięciorgiem rodzeństwa w dzielnicy Monachium Giesing. W 1942 roku ojca i dwóch braci wcielono do wojska. Ale jak tylko Niemcy dowiedzieli się, że są Sinti, niemieckimi Cyganami, zwolnili ich. Mojemu ojcu, który prowadził firmę transportową, zabrali wszystkie konie. Którejś nocy esesmani otoczyli nasz dom. Trafiliśmy do więzienia. Po dwóch dniach zagnano nas do bydlęcych wagonów. Nie wiedziałem, że wkrótce znajdziemy się tam, gdzie rządzi śmierć. Cieszyłem się po prostu, że będę jechał koleją.
Do Auschwitz dotarliśmy 16 marca 1943 roku. Wytatuowano nam numery, pierwszego dnia. Pamiętam jeszcze imię człowieka, który to robił. Bogdan, był Polakiem. Mój numer to Z-3526.
Po kilku miesiącach zaprowadzono mnie do doktora Mengele. W obozie szeptało się, że kto tam trafia, nie wychodzi żywy, a jeśli mu się uda, to chłopcy stają się dziewczynkami. Mówili też, że Mengele wstawia bliźniakom inne oczy. Pamiętam, jak zobaczyłem go pierwszy raz. Leżałem przywiązany do noszy. Wkroczył z uśmiechem do pokoju. Potem usiadł na taborecie i metalowym prętem uderzył mnie w pachwinę. Nie wiem, co dokładnie ze mną robił. Wiem tylko, że moja nerka jest pokiereszowana, a na podbrzuszu mam bliznę, jakby mi coś wyrwano. Do dziś, kiedy słyszę bawiące się dzieci, wpadam w panikę. Ich krzyk przypomina mi krzyki dzieci przy komorach gazowych i tych, które widziałem u doktora Mengele.
16 miesięcy. Tyle byłem w Auschwitz-Birkenau. Wróciłem tutaj dopiero w 2003 roku. I znów szedłem wśród jęków, gór ciał i swądu palonych zwłok. Cofnąłem się o sześćdziesiąt lat. Naprawdę to wszystko czułem.

Hugo Höllenreiner

Ten smród czuję jeszcze dziś

„Nie zostaniemy tutaj. Wyjdziemy, wrócimy do domu” - tak mama mnie uspokajała, kiedy trafiliśmy do Auschwitz. Był marzec 1943 roku. Miałem dziewięć lat. Z Monachium jechaliśmy chyba sześć dni. W jednym wagonie cisnęło się sześćdziesiąt osób. Najważniejsze było, żeby nie upaść, bo ten, kto upadł, już więcej nie wstał. Staliśmy w moczu i kale. Ten smród czuję jeszcze dziś. Cyganie bardzo wstydzą się wszystkich czynności fizjologicznych. Kiedy kobieta chciała się załatwić, inne stawały w kółko i zasłaniały ją spódnicami. Zatrzymywaliśmy się co dwa, trzy dni. Na postoju Niemcy otwierali drzwi, wlewali do środka kilka wiader wody, żeby zmyć podłogę. Moja babcia nie przeżyła tej drogi. Esesmani wyciągnęli ją martwą i wyrzucili z wagonu.

W Auschwitz-Birkenau ze strachem chodziliśmy spać i ze strachem się budziliśmy. Najgorszy był jednak głód. Dostawaliśmy kromkę chleba na cały dzień. Przez pierwsze trzy, cztery dni myślisz, że umrzesz z głodu. Piątego dnia chce ci się tylko spać. Szóstego zaczynasz krzyczeć. Głód był tak straszny, że kiedy umierał przyjaciel, zastanawialiśmy się, czy można go zjeść. Palce, nogi czy cokolwiek. Sam czasem zbierałem resztki chleba z dłoni nieżywych. Kiedy zamykam oczy, widzę moją mamę i rodzeństwo. Siedzą na pryczach i patrzą tępo przed siebie. Z głodu zaciskają pięści do krwi. Nigdy tego nie zapomnę.

W Auschwitz byłem 17 miesięcy. W połowie 1943 przewieziono mnie do Bergen-Belsen. Tam było jeszcze straszniej, ale nie chcę o tym mówić.

Krystyna Gil

Zostaniesz, nie możesz zapomnieć

Zabili ich w lipcu 1943. Tamtej nocy miałam pięć lat. Bardzo dużo pamiętam. Osiedle romskie znajdowało się na skraju Szczurowej. Mój dziadziuś, Cygan, miał swoją orkiestrę. Żadne wesele się bez niego nie obeszło. Babcia była Polką, zajmowała się domem. Pewnego dnia przyszedł do niej sąsiad, też Polak , i powiedział: „Nie śpijcie w domu". Nie posłuchała.

Była trzecia nad ranem. Babcia wyszła do wychodka. I nagle wbiegła do izby , krzycząc: „Już po nas". Domy były obstawione przez Niemców. Kazali nam wychodzić. Dziadek nie chciał, zastrzelili go. Widziałam, że się przewrócił i tak został. Nie rozumiałam, co się stało.

Nas wyprowadzili na drogę. Tam czekały furmanki. Powozili Polacy. Gdyby tego nie zrobili, sami by zginęli. Niemcy skuli wszystkim mężczyznom ręce z tyłu i tak wrzucali na wozy. Odjechali w stronę cmentarza, a za chwilę słychać było strzały. Kobiety i dzieci zaczęły krzyczeć. Już było wiadomo, co się dzieje. Furmanki wróciły. Usiadłam na wozie obok mamy, brata i młodszej siostry. Babcia się nie zmieściła, stała na poboczu. Mama wzięła mnie i powiedziała do niej: „Weź ją, jak przeżyjesz, to chociaż ona ci zostanie". Babcia nie chciała. Wolała mojego brata, bo był starszy. Wołała go. A on mówił: „Mama ginie i ja z nią". Pojechał. A ja zostałam.

Małych dzieci nie rozstrzeliwali, bo żal było im kul. Koło cmentarza była kaplica, schował się w niej sąsiad ze wsi. Wszystko potem opowiadał. Niemcy brali dzieci za nóżki, rozbijali ich główki o ścianę i wrzucali do dołu. Tak zginęła moja siostra. Dół był już wykopany. Nie wiem, kto kopał.

Wrócili po nas. Zostało może pięć, sześć osób. Ujechaliśmy kawałek do rynku, pani Piotrowska miała tam restaurację. Zaprosiła Niemców na poczęstunek. Weszli do środka, a do nas podszedł granatowy policjant i powiedział: „Kto może, niech ucieka". Biegłyśmy z babcią polami, bo bałyśmy się, że nas ktoś zobaczy i wyda.

Trafiłyśmy do Rzemienowic i mieszkałyśmy tam do 1945.

Babcia co roku brała mnie do Szczurowej na to miejsce, gdzie ich zabili. Mówiła: „Ja umrę, ty zostaniesz. Nie możesz zapomnieć".

Ponad dziewięćdziesiąt osób tam zabili. Po tym wszystkim trzy dni ziemia się ruszała. A krew po prostu wypływała na zewnątrz.

Louise Bäcker

Drzwi zamykam tylko, kiedy pada śnieg

To był marzec 1943 roku. Trafiliśmy do obozu. I… świat się skończył. Urodziłam się w 1931 roku. Miałam 14 rodzeństwa. Najmłodsza siostra miała cztery lata. Od razu straciłam imię i nazwisko. Nie byłam już Bäcker, stałam się numerem. Z-2800. Obcięli mi włosy. A tak bardzo chciałam je mieć. Może wtedy potrafiłabym sobie wyobrazić, że znów jestem w domu i mama zaplata mi warkocze.

Przydzielono mnie do pracy wokół krematorium. Rwaliśmy trawę i dzieliliśmy ją na kwadraty. Pracowałam jak dorosła, ale kiedy wracałam do baraku 16., znów byłam dzieckiem. Bawiłam się z innymi. Na przykład robiliśmy dołki w ziemi i wrzucaliśmy z odległości kamyki. Albo w klasy graliśmy. Owijaliśmy kawałki drewna skrawkami szmatek i to były nasze lalki.

Mój ojciec umarł po dwóch miesiącach. Miał tyfus. Sześcioro z mojego rodzeństwa zagazowano. Innym udało się przetrwać. Bracia, którzy jeszcze mogli pracować, trafili do innych obozów. Dwie siostry obierały ziemniaki w kuchni w Auschwitz.

Pamiętam moją mamę. I pamiętam dzień, kiedy dostała wysokiej gorączki. Każdego ranka trzeba było stawić się na apelu. Kiedy słyszało się swój numer, należało wystąpić. Mama nie miała siły. Leżała na pryczy. Ktoś mi powiedział, że umarła. Płakałam. Ale dzisiaj jako dojrzała kobieta muszę powiedzieć, że długiego żalu nie było. Pamiętałam, jak mi powtarzała: „Musisz walczyć o siebie”. Tak robiłam. Miałam 12 lat.

Ci, którym ktoś umarł, mogą przyjść na cmentarz, pomodlić się.

Ja muszę przyjeżdżać tutaj. Pierwszy raz po wojnie przekroczyłam bramę obozu dwadzieścia lat temu. Nic tu jeszcze nie było. Z trudnością odnajdowałam znajome miejsca.

Co mi zostało po obozie? Nocą nie mogę spać. Ten film ciągle się przewija w mojej głowie. Muszę mieć otwarte drzwi w domu. Zamykam je tylko wtedy, kiedy pada śnieg albo deszcz. To przez te wagony, którymi tu przyjeżdżaliśmy. I ciągle się boję. Nie wiem czego. Myślę, że przestanę się bać dopiero, jak umrę. Chociaż pewnie i tam wezmę strach ze sobą.

Franz Rosenbach

Niech już się to skończy

„Muszę przeżyć” - to była moja modlitwa w Auschwitz-Birkenau. Straciłem tutaj rodziców i rodzeństwo. Miałem wtedy 15 lat.
A to jest mój numer: Z-9264.
Nie pamiętam, do jakiego bloku trafiliśmy, 12. albo 13. Jak weszliśmy do środka, kobiety, które tam były, powiedziały do mojej matki: „Co tutaj robisz? Powinnaś wcześniej uciec ze swoim synem. Stąd już nie wyjdziesz. Tutaj nas wszystkich zamordują”.
Krematorium. Dobrze je widziałem z daleka. Mój Boże, nigdy tego nie zapomnę. Co tam się musiało dziać?! Te krzyki, płacz. Ciągnęły się godzinami.
W obozie przydzielono mnie do Arbeitskommando, budowałem kanalizację. Ciągle nas bito. Zrobiło się coś dobrze - bicie, zrobiło się coś źle - bicie. Po sześciu miesiącach odtransportowano mnie do Buchenwaldu.
W Auschwitz straciłem wszystkich. Czasem błagaliśmy Boga o śmierć. „Niech już się to skończy” - mówiliśmy. Minęło prawie 70 lat, a ja nigdy tego nie zapomnę.

Elisabeth Krawczyk

Będę wyliczać

Mama (41 lat), siostra (13 lat), brat (11 lat), brat (7 lat). Wszystkich mi tu zabili. Miałam 16 lat, jak trafiłam do obozu. Zabrali mnie z domu dziecka. Nie wychowywaliśmy się u rodziców, bo mojego ojca aresztowali w 1939 roku.
9 marca 1943 - to był mój pierwszy dzień tutaj. Dostałam miejsce na pryczy w bloku 25. Nie umiem o tym wszystkim opowiadać. Gdyby nie była pani Polką, w ogóle bym nie mówiła.
Będę wyliczać: byłam tutaj 16 miesięcy. Auschwitz dla mnie to: bicie, głód, bezsenność. Jeden koc na kilka osób. Wiatr. Apel. Zimno. I śmierć. Wszędzie śmierć.
Po każdym dniu myślałam sobie: „Teraz to już nic gorszego nie może mnie spotkać". Ale spotykało. Tak jakby zło nie miało końca.
Tak dużo pamiętam. Tylko twarzy mojej mamy nie mogę sobie przypomnieć.

Edward Paczkowski

Piach był czerwony

Mojego brata zagazowali. Hitlerowcy. Jezu kochany...
Trzy siostry, moja mama, tato. Przywiezieni byli z Tomaszowa Mazowieckiego do Auschwitz, do Birkenau. Zostali straceni prawdopodobnie w 1944 roku. Razem z innymi Romami.
Trafiłem do obozu nie dlatego, że byłem Cyganem, ale dlatego, że byłem w ruchu oporu. Jak miałem 13 lat, złożyłem przysięgę „na Święty Krzyż”. Przenosiłem ukryte rozkazy i meldunki. Obserwowałem też ruch niemieckich ciężarówek, notowałem to i oddawałem przełożonym.
To trwało do lata 1942 roku. Wtedy złapali mnie i brata gestapowcy i zamknęli w więzieniu w Radomiu. Torturowali, ale nie wydałem nikogo. Dotrzymałem słowa, które dałem Panu Bogu.
29 września 1942. To był ten dzień, kiedy mnie tu przywieźli.
Trafiłem do bloku 18. 66485 - taki dostałem numer. Nie byłem w obozie cygańskim, byłem więźniem politycznym. Nie widziałem, jak mordują Cyganów. Po latach mi o tym opowiedziano.
Pewnego dnia, pamiętam, to było w niedzielę, przebieraliśmy ziemniaki w piwnicy. Grupowy krzyczał: „Szybciej, szybciej”. Ja jeden się odezwałem. Powiedziałem, że nie możemy szybciej, bo zgniłe ziemniaki wrzucimy do zdrowych. Wtedy on zawołał takiego silnego mężczyznę. Moją głowę wziął między swoje nogi i kazał tamtemu bić mnie kijem od łopaty. Kazał liczyć. Doliczyłem do 25. Zemdlałem. Oblali mnie wodą. Dostałem następne 25. Lekarz dał mi 12 dni zwolnienia.
I przez te wszystkie dni leżałem tylko na brzuchu.
Bardzo nas męczyli w obozie. Sam zamiatałem ludzką krew. Kapo dał mi taczkę, łopatę i miotłę dużą. Zamiatałem ulice, piach był całkiem czerwony.
Przepraszam, już nie mogę opowiadać.

Albert Wolf

Siostra tańczyła w balecie

O, tu na ścianie. Jej nazwisko. Wolf, Aloisie, 1930-01-03, numer obozowy: Z-10628. Moja siostra. Była taka śliczna. Aktorka, tańczyła w balecie. Niemcy wyciągnęli ją z pociągu, jak jechała ze swoją grupą teatralną na występy do Wiednia. Skontrolowali ją i zobaczyli, że jest Sinti. Od razu ją deportowali do Auschwitz. Długo nie wiedzieliśmy, co się z nią stało. Dopiero siostra mojej mamy, która przeżyła obóz, powiedziała, że ją tu widziała. Moja mama miała jeszcze sześć sióstr, każda miała swoją rodzinę. Wszyscy tutaj zostali.
Ja nigdy nie trafiłem do Auschwitz. Ukrywałem się prawie całą wojnę. Razem z mamą wysoko w górach.
Przyjeżdżam tu od dwudziestu lat każdego roku. Zapalam świece. Ludzie w Niemczech powtarzają, że lepiej o tym wszystkim zapomnieć, nie mówić, ale ja wiem, że trzeba. Ja chcę pamiętać.

Rudolf Steinbach

Strach mnie nie opuścił

Auschwitz-Birkenau to dla mnie cmentarz. Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz od zakończenia wojny, jakoś się trzymałem. Choć było wielu takich, co mdleli. Wtedy były jeszcze granice zamknięte. Nie pamiętam roku. Ale pamiętam, że 9 marca 1942 roku trafiłem tu po raz pierwszy. Miałem 14 lat. Przyjechałem z całą rodziną. Mama, tato i czworo rodzeństwa. Wszyscy tutaj są. Zagazowani. Zostaliśmy wyładowani tam z przodu. I zaczęło się: krzyki „Raus, raus, raus", szczekanie psów. To wtedy pojawił się strach, który nigdy mnie nie opuścił.

Wszystko robiliśmy ze strachem. Baliśmy się jeść, spać, baliśmy się na myśl, co jeszcze może się zdarzyć. Po jakimś czasie zaczęliśmy się orientować w obozowym życiu. Wiedzieliśmy, z kim można porozmawiać, który kapo jest największym draniem. Nie umiem sobie poradzić z krzykiem, który mam ciągle w uszach. Nie wiedziałem, że ludzie potrafią tak głośno błagać o litość.

Moja mama. Płakała , jak odjeżdżałem do Buchenwaldu, ale pewnie wierzyła, że przeżyję. Już nigdy jej nie zobaczyłem. Został mi numer. Z-2201, na zawsze.

Współpraca Fundacja PICTURE DOC